

(Poland)  REFLEKTOR



Wybranie się na koncert zespołu, z którego twórczością nigdy wcześniej się nie zetknęło, niesie ze sobą pewne ryzyko. Ale ma też niewątpliwe dobre strony: z jednej strony to brak uprzedzeń, z drugiej – także zupełny brak oczekiwań. Pozostaje jedynie otworzyć się na muzykę i przekaz, jaki ze sobą niesie. Tak poznałam Lebowskiego. Zespół, który z pewnością zasługuje na większą uwagę niż ta, jaką się cieszy.

Koncert w chorzowskiej Leśniczówce był mocno kameralny, co również ma swój urok, bo pomiędzy muzykami a słuchaczami od razu zawiązała się pewna nić intymności i porozumienia. Koncert stał się rozmową, próbą zauroczenia, a może nawet i uwiedzenia. I nie skłamię, jeśli powiem, że urzekli mnie dźwiękami od pierwszej chwili. Ale to jeszcze nie wszystko – Lebowski uzupełnia swoją muzykę niezwykłymi wizualizacjami: dopasowanymi treścią do charakteru utworu, ale także rytmem zsynchronizowanym z muzyką. Część utworów zagranych na koncercie pochodziła z ich ostatniej (i zarazem debiutanckiej) płyty Cinematic.

Ale – co było chyba sporym zaskoczeniem dla zgromadzonych fanów – pojawiło się też kilka zupełnie nowych kawałków, co pozwala przypuszczać, że praca nad kolejnym albumem nie będzie tak długa jak nad debiutem (Cinematic powstawał niemal sześć lat). Największą siłą i fundamentem w muzyce Lebowskiego jest niezwykła harmonia, dopracowanie szczegółu: nie ma w niej miejsca na przypadkowość, instrumenty współbrzmiają ze sobą, uzupełniają się – można mieć wrażenie, że muzyka, która się pojawia, jest czystą myślą, pierwotnym zamysłem muzyków, zrodzonym w ich głowach. I nie były w stanie tego zniweczyć nawet kiepskie warunki akustyczne – lokalizacyjne w Leśniczówce: mikroskopijna scena, beznadziejne ustawienie sprzętu, wreszcie pozbawieni kontaktu wzrokowego ze sobą muzycy. Bo i warsztatowo artystom z Lebowskiego nie sposób coś zarzucić.

Bernadeta Prandzioch

<http://www.rozswietlamykulture.pl/reflektor/2012/04/22/lebowski-dumne-dziecko-postmodernizmu/>



(Poland)  **ROCKAREA**

15 kwietnia, w deszczowy, dosyć ponury, niedzielny wieczór, o godzinie 20-tej miał odbyć się koncert, myślę, że jednych z bardziej intrygujących ostatnimi czasy zespołów: szczecińskiego Lebowskiego, i krakowskiego Hipgnosis. Muzycy, chyba nawet nie wiedzą, że jako jedni z pierwszych, mieli przyjemność zagrać w chorzowskim Parku Śląskim. Nie wiem czemu stara nawa była zła, ale faktem jest, że Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, od 11 kwietnia posługuje się nową oficjalną marką - Park Śląski. W samym sercu tej zielonej oazy, wtopionej pomiędzy śląskie aglomeracje, znajduje się miejsce, do którego tak naprawdę trudno dotrzeć (o czym mogli się niektórzy przekonać), muzyczna enklawa, jeden z najmniejszych klubów muzycznych na świecie - chorzowska "Leśniczówka".

20 minut po godzinie 20-tej, na prawdziwie kameralną scenę weszli: Krzysztof Pakuła (perkusja), Marek Żak (bas), Marcin Łuczaj (syntezatory) i...? Nie. Marcin Grzegorzcyk już na tej scenie się nie pomieścił, musiał stanąć ze swoją gitarą, niejako bardziej z boku, ale zapowiedział, że już drugi raz wykolegować się nie da. Praktycznie w zupełnych ciemnościach, rozpoczęli od dźwięków swego debiutanckiego "Cinematica". Popłynęło więc: "137 sec", "Trip To Docha", "Apetit For Breakfast", tytułowy "Cinematic"... Tym razem, w swój koncertowy set, muzycy wpleli sporo nowego materiału, przygotowywanego z myślą o drugiej płycie (m.in. "Berlin"). Niektóre z kompozycji nie miały jeszcze nawet swojego oficjalnego tytułu, jednak ich zawartość muzyczna (i nie jest to jedynie moja opinia), ogromnie zaostrzyła apetyt na nowe wydawnictwo! Muzyce towarzyszyły świetne wizualizacje, autorstwa managera zespołu, Radosława Ratomskiego. Zawierały fragmenty filmów, których cytaty znalazły się na płycie, jak i różnorodne, urzekające egzotyczne miejsca. Natomiast premierowy materiał ozdobiony został bardziej zurbanizowanymi obrazami. Dominowały wówczas filmy ukazujące: gęszcze kominów, dachów, anten i lamp, sylwetki zziębnięte rankiem, zmęczonych nocą ulic. Spekulować więc można, jak będzie wyglądać strona graficzna nowego wydawnictwa. Miałem przyjemność oglądać Lebowskiego w plenerowych warunkach, w świetle dnia, na deskach inowrocławskiego amfiteatru, oraz teraz, w półmroku, w małej, przytulnej "Leśniczówce", i chociaż ich muzyka broni się praktycznie zawsze, jednak odpowiedni klimat sprawia, że nabiera ona wręcz metafizycznych wrażeń.

Marek Toma

http://www.rockarea.eu/articles.php?article_id=2540



(Poland)  KONTURY.NET

Lebowski i Joseph Magazine we Wrocławiu

Lebowski i Joseph Magazine – dwa bardzo obiecujące zespoły progresywne, autorzy naprawdę ciekawych debiutów („Cinematic” 2010, „Night of the Red Sky 2011”) – na jednej scenie. Połączenie obiecujące, a jednak miałem mieszane uczucia wybierając się na ten koncert. Klub Liverpool to pub, ewentualnie rockoteka, a nie komfortowa sala koncertowa. Brak w nim profesjonalnego zaplecza i garderoby. Akustyka też pozostawia sporo do życzenia. To pierwszy minus. Drugi to olbrzymia, mimo wszystko, różnica stylistyczna dzieląca obie grupy. Zespoły łączy właściwie tylko instrumentalny charakter muzyki (Lebowski w ogóle nie mają wokalisty, JM korzystają z głosu sporadycznie). Lebowski na „Cinematiku” zaprezentował się subtelnie, przestrzennie, z olbrzymim wyczuciem operując klimatem i dynamiką, ciesząc ucho różnorodnością melodyczną. Z kolei Joseph Magazine to dźwiękowy wulkan, taran energii, który tylko chwilami koi uszy słuchacza subtelnymi melodiami. Lubuje się raczej w ciężkich, ciętych riffach, rytmicznych galopadach, progmetalowych wyścigach w stylu Dream Theater. Na scenie wrocławskiego klubu pojawiły się więc dwa odmienne muzyczne światy, dwa zupełnie inne spojrzenia na instrumentalną progresję. Miałem wątpliwości, czy te światy nie będą się ze sobą gryzły.

Szczeciński kwartet Lebowski pojawił się na scenie kilka minut przed 22. Na oczach rozgrzanej już publiczności zrobił piętnastominutową próbę dźwięku i zaczął od prezentacji materiału z płyty „Cinematic”. Miejsce progmetalowej dynamiki, agresji i wirtuozerii zajęła ciekawa kombinacja artrockowej melodyki z filmową nostalgią. Szczecinianie nie są na pewno tak zaawansowani technicznie jak ich wrocławscy koledzy, ale pod względem tworzenia klimatu i kompozycji grają niewątpliwie w najwyższej lidze. Sekcja nie serwowała przesadnych połamańców, ale grając nieszablonowo, unikała wyświechtanych rozwiązań. Na plan pierwszy wysunięte zostały melodyczne wycieczki gitarzysty Marcina Grzegorzcyka i klawiszowca Marcina Łuczaja. Obaj grają różnorodnie, z dużym wyczuciem podając tematy. Wiosło w rękach Grzegorzcyka potrafi zawarczeć cięższym riffem, by po chwili „zaśpiewać” dłuższe, łagodne solo. Łuczaj gra bardzo przestrzennie, z lubością bawiąc się ciepłymi, pastelowymi barwami. Dużo emocji jest w tym graniu, a także uczucia w prowadzeniu melodii, i smaku w doborze proporcji. To tu, to tam przewijają się sympatyczne akcenty i smaczki – a to zaczerpnięte z filmu (w „137 sekund” pojawia się sampel wokalizy stylizowany na „Kołysankę” Komedy z „Dziecka Rosemary”), a to kierujące uwagę słuchacza w stronę piosenki francuskiej („Encore”). Szczególnie ważne są jednak akcenty filmowe. Koncert Lebowskiego trudno sobie bowiem wyobrazić bez wsampłowanych monologów Gustawa Holoubka, Zdzisława Maklakiewicza,

czy Romana Kłosowskiego ze starych, polskich filmów. Niby prosty zabieg, ale inteligentnie wykonany robi spore wrażenie zarówno na płycie, jak i na koncercie.

Szczeciński kwartet Lebowski pojawił się na scenie kilka minut przed 22. Na oczach rozgrzanej już publiczności zrobił piętnastominutową próbę dźwięku i zaczął od prezentacji materiału z płyty „Cinematic”. Miejsce progmetalowej dynamiki, agresji i wirtuozerii zajęła ciekawa kombinacja artrockowej melodyki z filmową nostalgią. Szczecinianie nie są na pewno tak zaawansowani technicznie jak ich wrocławscy koledzy, ale pod względem tworzenia klimatu i kompozycji grają niewątpliwie w najwyższej lidze. Sekcja nie serwowała przesadnych połamańców, ale grając nieszablonowo, unikała wyświechtanych rozwiązań. Na plan pierwszy wysunięte zostały melodyczne wycieczki gitarzysty Marcina Grzegorzcyka i klawiszowca Marcina Łuczaja. Obaj grają różnorodnie, z dużym wyczuciem podając tematy. Wiosło w rękach Grzegorzcyka potrafi zawarczyć cięższym riffem, by po chwili „zaśpiewać” dłuższe, łagodne solo. Łuczaj gra bardzo przestrzennie, z lubością bawiąc się ciepłymi, pastelowymi barwami. Dużo emocji jest w tym graniu, a także uczucia w prowadzeniu melodii, i smaku w doborze proporcji. To tu, to tam przewijają się sympatyczne akcenty i smaczki – a to zaczerpnięte z filmu (w „137 sekund” pojawia się sampel wokalizy stylizowany na „Kołysankę” Komedy z „Dziecka Rosemary”), a to kierujące uwagę słuchacza w stronę piosenki francuskiej („Encore”). Szczególnie ważne są jednak akcenty filmowe. Koncert Lebowskiego trudno sobie bowiem wyobrazić bez wsamplowanych monologów Gustawa Holoubka, Zdzisława Maklakiewicza, czy Romana Kłosowskiego ze starych, polskich filmów. Niby prosty zabieg, ale inteligentnie wykonany robi spore wrażenie zarówno na płycie, jak i na koncercie.

Maurycy Nowakowski

<http://kontury.net/index.php?LinkMenuID=1&ReadPostID=196>



(Poland)  ARTROCK.PL

"Znacie jakąś wolną metę dla nas we Wrocławiu?"

Lebowski i Joseph Magazine, 13 kwietnia 2012, klub Liverpool we Wrocławiu

„Witajcie w piątek, trzynastego” – takimi słowami Bartosz Socha, gitarzysta formacji Joseph Magazine przywitał licznie zgromadzonych fanów obydwóch zespołów. Wrocławski klub Liverpool tego wieczoru gościł nie tylko stałego już bywalca swojej sceny, punktem kulminacyjnym był występ szczecińskiej formacji Lebowski, koncertującej w trwającej właśnie trasie „Cinematic Tour”. Mieszanka muzyczna tego wieczoru była naprawdę imponująca.

Dwie najgorętsze polskie premiery razem tego samego dnia na jednej scenie. To już nawet odwołując się w swojej recenzji debiutu „Night of the Red Sky” do ciarek na plecach, nie sądziłem że tak różne dwa brzmieniowo zespoły zawładną jedną sceną. Występ wrocławsko-oleśnickiej cyber-metalowej formacji rozpoczął się krótko po godzinie 20, prezentując wybrane i doskonale już znane fragmenty z repertuaru zespołu: Liquid Dream, Self Examination, Vision, Holy Land, Tower, Wormwood, Heremit, Night of the red sky i Torn Piece of the Sky. Pomimo zaledwie jednego wydawnictwa na koncie oraz braku znanych nazw w biografii członków zespołu, wrocławsko-oleśnicka formacja czuje się coraz pewniej na scenie. W czasie występów pomiędzy znanymi utworami zaskoczyli publiczność bardzo sprawnym wykonaniem klasyków ery new romantic: „Kayleight” Marillion oraz „She’s a Maniac” Michaela Sembello, za co zespół zgarnął gromkie brawa od przybyłej publiczności. Prawdę mówiąc liczyłem na jeszcze jednego hiciora na dobitkę klimatu czyli legendarnego „Gimme Gimme Gimme”, którym zaskoczyli publiczność podczas pierwszego występu. Ale zespół obiecał poprawę i więcej przeróbek na bisy – trzymam ich za słowo.

Chwilę po zejściu ze sceny muzyków Joseph Magazine mignęła mi przed oczami znajoma koszulka z charakterystyczną białą postacią i podpisem „I AM THE STIG” – to był Marcin Grzegorzczak, który na ten czas ubrał koszulkę reklamując pewien znany brytyjski program rozrywkowy. Występ szczecinian trwał ponad dwie godziny, w trakcie którego zagrali wiele nowych kompozycji, nawet w większości nie posiadających jeszcze tytułów jako uzupełnienie całej zawartości płyty Cinematic zaprezentowanej podczas tego koncertu. Brzmienie zespołu powoli się zaostrza, nabierając pazura ale także cech rozpoznawalnego brzmienia i zapadających w pamięć melodii. Pomimo dosyć częstej obecności zespołu we Wrocławiu, było to moje drugie spotkanie z występem na żywo ale pierwsze w tym mieście. Poprzednie miało miejsce we wrześniu podczas festiwalu Ino Rock, podczas którego mogłem jedynie wysłuchać część kompozycji przygotowanych pod krótkie jak się okazuje, festiwalowe okienko. Jeden poważny minus to zbyt intensywne nagłośnienie, zmuszające momentami do ucieczki spod sceny. Najlepiej dało

się słycać w sali po drugiej stronie baru, Liverpool jest za małym klubem aby go tak mocno nagłaśniać. Ale to moje mocno subiektywne odczucie.

Zespół zakończył swój występ chwilę przed północą, dając nam czas na małą rozmowę z muzykami przy wtórze muzyki z „Binarki” Ayreona. Dla wielu osób był to także dobry moment na uzupełnienie dyskografii czy garderoby z dostępnego merchandisingu obu zespołów, zwłaszcza odnowionego wydania "Night of the Red Sky" Joseph Magazine z pełniejszą okładką autorstwa Mattiasa Nórena.

Naczelny

<http://artrock.pl/zagrani/674/>

(Poland)  PROGRESSIVE-BOLT

ProGGnozy w Krakowie - odsłona nr 3 – relacja

Z nieukrywaną przyjemnością muszę przyznać, że kolejne **ProGGnozy** wypadają coraz lepiej i przynoszą coraz więcej niespodzianek. Odsłonę nr 3, tego zacnego cyklu, należałoby uznać za najbardziej udaną z dotychczasowych. Wszystko było idealnie, poza jednym małym mankamentem o którym za chwilę. Nagłośnienie, oświetlenie, wizualizacje oraz kondycja i repertuar zaproszonych zespołów. Publika również dopisała, frekwencja, w porównaniu do imprezy sprzed miesiąca, była wyraźnie większa.

Na scenę wkroczył zespół **Lebowski**. Byłem niezwykle ciekaw jak zaprezentuje się na żywo materiał z **Cinematica**, tym bardziej, iż studyjny debiut grupy wzbudził u nas w redakcji prawdziwy zachwyt i wielką falę entuzjazmu. Nie zawiodłem się ani trochę, dostając nawet więcej niżbym przypuszczał! Zaczęli od **137 sec**. W tle piękne i doskonale zgrane animacje, przeplatane widokiem z dwóch kamer, umieszczonych na scenie, a nagłośnienie wprost bajka! Poszczególne instrumenty zabrzmiały selektywnie, tak, iż w każdy można się było wsłuchiwać z osobna. Od pierwszych minut czuć było, iż zespół jest w formie, a wspólna gra sprawia im wiele frajdy. Potem poleciały **Trip To Doha**, **Aperitif For Breakfast (O.M.R.J.)** oraz **Cinematic** - wszystkie zagrane bezbłędnie. Jednak po tym secie dostaliśmy niespodziankę. **Lebowski** zaprezentował aż cztery nowe utwory. Zmuszony jestem powiedzieć, że brzmią one rewelacyjnie, podsycając mój apetyt na kolejny album formacji. Szczególnie spodobały mi się utwory nr 2 oraz 4, na setliście podpisane jako: Mocny oraz Załamka (**Slightly Inhuman**). Dalej **Spiritual Machine**, **Iceland** oraz **Encore**, zapowiedziany przez gitarzystę słowami: "a teraz zrobimy to Wam po francusku" :) W tle cały czas kapitalne filmiki i animacje, więc było na czym oko zawiesić. Zagrali jeszcze dwa nowe kawałki, a na koniec kolejny nowy utwór **Midnight Syndrome**, które spowodował u mnie totalny opad szczery! Panowie, genialne! Sala wypełniona niemal w pełni reagowała na ich występ niesamowicie entuzjastycznie, Panowie wyglądali na szczerze zaskoczonych tak gorącym powitaniem. Zagrali więc, aż dwa bisy, w żadnym wypadku nie pozostawiając publiki z uczuciem niedosytu.

Świetne nagłośnienie, dobra organizacja, coraz większa publika oraz doskonale zespoły były niewątpliwie wizytówką tej odsłony **ProGGNoz**. Cykl z pewnością zaczyna rokować coraz lepiej dając nadzieję, na prawdziwą rewolucję na krakowskiej scenie progresywnej. Za miesiąc zagrają zespoły **Xanadu** i **Figuresmile**, więc myślę, że z pewnością każdy szanujący się art-rockowiec powinien się na nie wybrać!

kwarc

<http://progressive-bolt.pl/component/k2/item/1399-proggnazy-w-krakowie-ods%C5%82ona-nr-3-relacja.html>

Lebowski we Wrocławiu - relacja

Jurek Gibadło - Od jakiegoś roku zasłuchuję się w albumie Lebowskiego "Cinematic", staram się o nim pisać i promować, bo uważam, że ta muzyka jest tego warta. Płyta to pikuś - ależ ta czwórka ze Szczecina brzmi na żywo! To jest dopiero to!

Dopiero teraz, 13 kwietnia 2012, udało mi się trafić na gig tej drużyny. W kameralnym, nastawionym na rocka klubie **Liverpool** we **Wrocławiu**, wraz z ok. 50 osobami miałem okazję wsłuchać się w te niepowtarzalne dźwięki i poznać kilka nowych utworów Lebowskiego. Ale po kolei.

Co prawda był to piątek trzynastego, ale wszystko poszło z planem (moim i zespołu). Najpierw spotkaliśmy się w klubie, gdzie jeszcze w ciszy i spokoju udało nam się porozmawiać (zapis owej rozmowy pojawi się już niedługo), później panowie udali się na chilloutowanie do sali dla palących, a ja zatopiłem usta w piwie w oczekiwaniu na pierwsze dźwięki koncertu.

Ci, na których czekałem, pojawili się na scenie ok. 22:30, rozpoczynając koncert numerem "**137 sec.**", z charakterystyczną partią cymbałów i żeńską wokalizą. Później zabrzmiał miejscami orinetalizujący "**Trip To Doha**". Atmosfera intymności, delikatne niebieskie światło i totalne skupienie słuchaczy pozwalało zatopić się w te dźwięki i faktycznie udać się w podróż po kadrach "z nieistniejącego filmu". Moja panna, która właściwie pierwszy raz stykała się z muzyką Lebowskiego, stwierdziła krótko i celnie: "Ej, oni naprawdę pięknie grają!". Good point - ta muzyka jest po prostu piękna, idealnie skomponowana, wysmakowana, pobudzająca zmysły.

Kwartet nie przegrzewa słuchaczy popisami technicznymi, stawiając przede wszystkim na klimat. **Marcin Łuczaj** tworzy klawiszowe pejzaże, ale i podaje melodie przy użyciu różnorodnych syntezatorowych przesterów. **Marcin Grzegorzcyk** dzielnie mu wtóruje na wiośle raz malując podkłady, raz rzeźbiąc solówki. I wreszcie sekcja rytmiczna: **Marek Żak i Krzysztof Pakuła**. Przyznaję, że dopiero podczas tego koncertu w pełni odkryłem ich klasę i pomysłowość w unikaniu "kwadratowego" grania. Każda ich partia idzie inną drogą, mimo iż większość numerów utrzymane jest przecież w podobnym metrum i tempie.

Lebowski, oprócz już wspomnianych kawałków, z debiutu zaproponował jeszcze "**Aperitif For Breakfast**" (łatwo rozpoznawalny wstęp z brzmieniem pozytywki), tytułowy "**Cinematic**", ulubiony numer samych muzyków "**Iceland**" (cudowna melodia pianina!) i erotyczne "**Encore**" (uwielbiam ten ciepły fragment w drugiej części utworu). Oprócz nich mieliśmy okazję poznać kompozycje, które - mam nadzieję - w niedalekiej przyszłości trafią na następny album. Faktycznie - ta muzyka różni się od zaproponowanej na "**Cinematic**", ale trzyma jego wysoki poziom. Mnie najbardziej urzekł niezatytułowany jeszcze utwór, mający we Wrocławiu swoją absolutną premierę - to delikatna, zagrana w

durowej skali (to rzadkość u Lebowskiego) kołysanka. Inny numer "**bez tytułu**" zwiastuje, że panowie szukają nieco dynamiczniejszych, może nawet agresywnych rozwiązań - piosenkę co i rusz cięły mocne partie gitary. I wreszcie na bis, tuż przed północą, muzycy zaproponowali numery znane z innych koncertów: nostalgiczne "**Mirage Avenue**" i mocniejsze "**Midnight Syndrome**".

Yep, to było 1,5 godziny totalnej muzycznej ekstazy i odlotu, po którym tylko utwierdziłem się w przekonaniu, że wobec twórczości Lebowskiego nie można przejść obojętnie. Jeśli więc będziecie mieli okazję posłuchać ich na żywo, to nie zastanawiajcie się ani chwili - to absolutna polska czołówka klimatycznego grania. A może i nie tylko polskiego...

<http://www.students.pl/kultura/details/60842/Lebowski-we-Wroclawiu-relacja>



(Poland)  **MAŁY LEKSYKON WIELKICH ZESPOŁÓW**

ProGGnozy 3 - Kraków, Klub Zaścianek, 14.04.2012

Cykliczna impreza ProGGnozy nabiera coraz większego rozmachu. Na trzecią z tego cyklu imprezę zaproszono tym razem dla odmiany dwa zespoły: krakowski Structure of Reason i szczeciński Lebowski. W przeciwieństwie do dwóch poprzednich koncertów, tym razem nie było zapowiedzi. Kilkanaście minut po godzinie 19-tej na scenie zainstalował się zespół Structure of Reason. Instrumentalny wstęp już zapowiadał ciekawy występ.



Następujący po nim utwór „Mirror” wypadł raczej średnio, lepiej natomiast było z kolejnym tematem o wdzięcznym tytule „Smutny”. Instrumentalnie muzycy są bardzo dobrzy. Gorzej trochę z wokalem. Wokalista oczywiście ma ogromne możliwości głosowe, lecz nie do końca wpasowuje się w resztę zespołu. Pomysł z wielogłosem może jest i dobry, lecz tu na koncercie nie sprawdził się. Nienajlepsze nagłośnienie (choć i tak lepsze niż poprzednio) spowodowało, że nałożone na siebie głosy przy pomocy efektu delikatnie drażniły. Nie wszędzie aranżacje były udane. Choć sporo utworów miało tytuły anglojęzyczne (np. „Error”, „Rotten”, „Crack”), to wokalista mimo tego śpiewał po polsku. Kończący występ „Outro” podobnie jak „Moje Mantry” Abraxasu charakteryzował się melorecytacją. W tym wypadku wokalista przedstawił zespół i pożegnał się z publicznością. Grupa Structure Of Reason, choć mało znana, powinna się dalej rozwijać i przede wszystkim starać się eliminować błędy aranżacyjne, gdyż one mogą drażnić słuchaczy. Jednakże ProGGnozy to nie jest program Idol, a ja nie mam zamiaru bawić się w Kubę Wojewódzkiego, więc muzykom oszczędzę ostrych słów krytyki. Jednym z celów tychże koncertów jest promowanie rocka progresywnego, a promować należy konstruktywnie, więc trzymajmy kciuki za Structure of Reason.

Niezbyt wysoka frekwencja na występie Structure Of Reason rodziła wątpliwości co do koncertu grupy Lebowski. Jednak te wątpliwości zostały szybko rozwiane – na Lebowskim było znacznie więcej osób. Zespół rozpoczął swój występ utworem „137 Seconds”. Potem przysłała pora na kolejne utwory z „Cinematic”, czyli „Trip to Doha”, „OMRJ” i „Cinematic”. Publiczność żywiołowo reagowała skandując nazwę zespołu. Doprowadziło to do sytuacji, w której zespół czuł się jakby odrobinę onieśmieszony takim przyjęciem. Prócz nagrań z płyty „Cinematic”, panowie zagraли też trochę nowego materiału. Menedżer twierdził, że premierowe utwory trafią na ich... trzecią płytę. Prócz nowych utworów oraz nagrań z albumu zespół zagrał także rzeczy niepublikowane. Ponadgodzinny występ zakończył się utworem „Midnight Syndrome”. Wydawałoby się, że to koniec, ale Lebowski pojawił się na bis wykonując tzw. koncert życzeń. Na pierwszy ogień poszedł „Mirage Avenue”. Podczas bisów pojawiły się drobne problemy techniczne i zespół musiał informować akustyka, co ma jak nagłośnić. Drugim bisem był „Kulla” i tym utworem zakończył się

wspaniały koncert. Była potem okazja do autografów, wspólnych zdjęć oraz rozmów z muzykami. Choć publiczności bardzo się podobał ich występ, to jednak ze względu na dość specyficzną porę ludzie pod koniec głównej części koncertu powoli wychodzili z sali (kłopotliwe powroty do domu o tej porze). Tyle lat czekało się na Lebowskiego, aż się wreszcie doczekaliśmy. Miejmy nadzieję, iż nie będzie to jedyny koncert w Krakowie i ten przesympatyczny zespół będzie nas częściej odwiedzał.

Autor: Paweł Świrek
17.04.2012.

http://www.mlwz.ceti.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=8251&Itemid=81

(Poland)  PROGROCK.ORG.PL



Finał był prawdziwą ucztą! Zespół Lebowski zagrał długi set, w którym tym razem nie dominowały już tak zdecydowanie utwory z albumu „Cinematic”, choć wybrzmiała ze sceny lwią część tej płyty. Zatem pojawiło się bardzo dużo muzyki nowej, a nawet najnowszej! Zespół Lebowski zagrał min. dwa utwory, które publiczność zgromadzona w Oskardzie miała przyjemność wysłuchać pierwszy raz, bowiem nikt inny po za muzykami zespołu, menadżerem

(Radek Ratomski) i nadwornym grafikiem (Wiktor Franko) tych kompozycji dotąd nie słyszał. Jak zapowiedział Marcin Grzegorzczak, zespół zabierze się teraz do pracy nad oszlifowaniem tego materiału i jeśli wszystko dobrze pójdzie to być może wyjdzie z tego nowy album. Mogę tylko napisać, że materiał zagrany na koncercie zwiastuje muzykę, w której usłyszymy min: nutkę orientu i ciut więcej mocy i dynamiki, choć oczywiście melodyjna, zmysłowa atmosfera znana nam z albumu "Cinematic" wciąż w muzyce zespołu Lebowski jest i niezmiennie czaruje słuchacza. To nie koniec debiutów tego wieczoru, bowiem ze sceny usłyszeliśmy zagrany po raz pierwszy na żywo utwór „137 sec.". Nigdy dotąd Lebowski nie grali tej kompozycji. Co prawda zabrakło na żywo głosu Katarzyny Dziubak, która ma teraz o wiele poważniejsze zajęcia domowe, ale Marcin obiecał, że kiedyś namówi swoją drugą połowę na wspólny występ!

Podsumowując koncert zespołu ze Szczecina, nie można zapomnieć o Radku Ratomskim, który schowany gdzieś na samym końcu sali, wyświetlał dla widzów przepiękne wizualizacje, rozbudzające jeszcze bardziej wyobraźnię słuchacza. Radek jest prawdziwym bohaterem drugiego planu, zupełnie jak w dobrym filmie, w którym aktorzy drugoplanowi często są niezwykle częścią fabuły. Publiczność była zachwycona i oczarowana i oprawą i muzyką. Można bez przesady powiedzieć, że zespół Lebowski to już nie jest czołówka naszej sceny. To ekstraklasa światowa, którą możemy i nawet powinniśmy chwalić się na całym Świecie. Myślę, że już tylko kwestią czasu jest sukces międzynarodowy tego zespołu.

Ryszard Bazarnik

<http://www.progrock.org.pl/content/view/8697/62/>



(Poland)  **METAL MUNDUS**



Podzielę swój tekst na dwie części. W pierwszej podam same fakty i dane merytoryczne dotyczące koncertu, w drugiej podzielę się z Czytelnikami kilkoma swoimi osobistymi refleksjami. A więc do dzieła!

Na ten moment wyczekiwałem długo z wyostrzonym apetytem na niebanalne przeżycia estetyczne podyktowane klimatyczną muzyką kwartetu Lebowski z ich debiutanckiej płyty zatytułowanej „Cinematic”, albumu który uczynił wiele pozytywnego zamieszania w światku rocka progresywnego nie tylko w naszym kraju. Mistrz ceremonii, czyli redaktor muzyczny PiKa Adam Drożdżik, prowadzący cykl koncertów w studio radiowym pozwolił sobie nawet na żart w czasie zapowiedzi występu grupy, że z publikacją albumu numer dwa Panowie ze szczecińskiego bandu poczekają do momentu, aż opadnie medialny kurz po sensacyjnym przyjęciu ich fantastycznego debiutu, gdyż nie chcą zaanektować kolejnych tytułów jako grupa roku, album roku, wydarzenie roku, debiut roku itd. Wypada się z tą opinią zgodzić, ponieważ rok 2011 obfitował w wartościowe debiuty, ale tego, co osiągnęli muzycy Lebowski nie da się ogarnąć zwykłymi środkami werbalnymi. Jak ktoś nie zdołał jeszcze poznać zawartości krążka „Cinematic” ten powinien tę przyjemną czynność wykonać niezwłocznie, bo traci w ten sposób najpiękniejsze chwile swojego rockowego życia. Tak pomyśleli również słuchacze, którzy wyjątkowo tłumnie przybyli do pomieszczenia radiowego wypełniając je szczelnie, a chcąc być do końca rzetelnym należy napisać, że organizator postarał się w porównaniu do innych koncertów o dodatkowe miejsca dla lawinowo napływających chętnych. To czytelny sygnał, że zebrani nie pojawili się dla przeciętniaków, więcej, wszyscy na widowni doskonale wiedzieli, jak „pachnie” „kinowa” kreacja kwartetu, ale sądzę, że podobnie jak ja oczekiwali także choćby drobnych sygnałów dotyczących projektowania kolejnego wydawnictwa. Zapewniam, że nikt się zawiódł. Zespół wykonał po mistrzowsku kilka kompozycji z obsypanego nagrodami „Cinematic” uzupełniając koncert kilkoma rarytasami jeszcze nie publikowanymi. Słuchacze z uszami szeroko otwartymi śledzili wstrzymując oddech wspaniałe rozdziały „Cinematic” (o tytułach za chwilę), reagując równie entuzjastycznie na anonsowane nowości, które w większej części wypełniły trzy bisy. Kto się spodziewał, że po wysłuchaniu setu podstawowego nie będzie bisów, ten należy do grona wyjątkowych niedowiarków. Lista wykonanych utworów prezentowała się następująco:

1. Trip To Doha
2. OMRJ- Aperitif For Breakfast
3. Cinematic
4. Split Universe (nowość)
5. Iceland
6. Encore
7. Romeo & Juliet (przepiękna, malarska interpretacja tematu z "Romeo i Julia")
8. Midnight Syndrome
9. Slightly Inhuman (na życzenie publiczności)
10. Berlin (nowość)
11. Mirage Avenue (nowość)

Każdy akt tego spektaklu uzupełniały starannie dobrane wizualizacje. Oczywiście zespół wystąpił w swoim żelaznym składzie:



Jeśli chodzi o nowe kompozycje, to „artrockowcy” ze Szczecina zmienili konwencję, wyostając brzmienie, szczególnie w „Split Universe”, w którym pojawiło się sporo alternatywnego „jazgotu” gitary Marcina Grzegorzcyka w koalicji z perkusją i basem, wspaniale komponującego z łagodnością i intensywnością partii Marcina Łuczaja. Z drugiej zaś strony temat „Romeo & Juliet” powalił mnie swoim pięknem, a „Berlin” zachwyił ilustracyjnością dokumentalnego filmu. Jaki z tych pomysłów będzie artystyczny „chleb” dowiemy się dopiero w dniu publikacji drugiego fonograficznego wydawnictwa.

CZĘŚĆ II

Zacznę swoje prywatne dywagacje pokoncertowe przekornym pytaniem: Czy muzyka może służyć jako lekarstwo? Już widzę te skwaszone miny medyków, mniej zdziwione psychologów, podejrzewających u mnie „niepoprawność umysłową” (nie znam kodu tej „jednostki chorobowej”), a próbujących odpowiedzieć na to pozornie dziwaczne pytanie. Ja jednak postanawiam brnąć konsekwentnie na drodze do dowodów, które potwierdzą moją tezę, a uczynię to właśnie na przykładzie kwartetu Lebowski (powiniem w zasadzie napisać kwintetu, gdyż Radek Ratomski, menedżer grupy to „integralny czynnik ludzki” (wybacz Radku to trochę pokrętnie określenie) tworzący z muzykami jeden spójny artystyczny organizm). Śmiem twierdzić, że muzyka szczecińskiej formacji to skuteczny specyfik nazywany czasami „dwa w jednym”. W tym przypadku wizje twórców mają działanie zarówno terapeutyczne, jak też stymulujące.

Terapeutyczne , ponieważ piękne, eleganckie, symetryczne struktury kompozycji, malarskie pasaże, urokliwe motywy melodyczne i sferyczny, nasycony magią i kosmosem klimat tworzą aurę terapii, wyciszającej złe emocje, resetujące agresywne zachowania,

dające uspokojenie i ukojenie rozedrganego świata emocjonalnego wewnątrz współczesnego homo sapiens (albo prawie każdego osobnika ludzkiego z wyłączeniem tych oszołomów, specjalistów od otwartych samochodowych okien i dudniącego umpa, umpa, którym już nic nie pomoże).

Stymulujące, ponieważ ta muzyka działa niesamowicie konstruktywnie, wzbogacająco na wyobraźnię, emitując w każdej sekundzie swojego brzmienia impulsy skłaniające do przemyśleń, autorskich krajobrazów w naszym świecie umysłowym, tworzenia obrazów „kinowych”, które u każdego odbiorcy są inne, zależne od dziesiątków czynników naszego indywidualizmu i osobowości. Przygotowane wizualizacje to niejako bonus od zespołu sugerujący być może kierunek naszych przemyśleń. Muzyka i obrazy stanowią tak sugestywny konglomerat, że trudno się od nich uwolnić na długo po koncercie. Ten wizerunek to rodzaj panoramicznego kina, w którym reżyserzy dają odbiorcom swobodę wyboru, jaki film chcą oglądać. Muza formacji Lebowski wywiera także wpływ na inteligencję współuczestników przedstawienia, stanowiąc bodziec do bycia artystą prawie takim, jak muzycy na scenie, tworzącym własne marzenia i wizualizacje jako formy reakcji na porywający riff gitary, śliczny pasaż klawiszowy, punktowanie rytmiczne perkusji czy puls gitary basowej. Wszystkie te składniki to niejako zależności zmienne, bo przybierające inny kształt, występujące w innej konfiguracji w każdej strukturze kompozycji. To one decydują także o różnorodności przekazu, tak bogatego, selektywnego i spójnego.

Na zakończenie chciałbym podkreślić także uniwersalny charakter tej kameralnej muzyki. Dowodzi tego przekrój wiekowy słuchaczy, zebranych w potężnej jak na potencjał radiowego studio sile, o rozpiętości od granicy lat około 20, aż po takie stare „kacpie” jak ja. Tak zróżnicowana publiczność, pozwala na spostrzeżenie, że muzyczne kreacje Lebowski trafiają na podatny grunt, bez względu na wiekową dojrzałość, a ponieważ znam sporo bywalców tych koncertów, wiem, że niektórzy z nich to zwolennicy ekstremalnych form metalu, których porwała również ta, jak mówi A.Droździk, „muzyka podniesiona do rangi sztuki”.

Bardziej przyjemnego wieczoru, jak ten „face to face” z muzyką zespołu Lebowski nie mogłem sam sobie zaaranżować. „Nabuzowany” pozytywnymi przeżyciami wróciłem do domu, życząc muzykom i Radkowi powodzenia w czasie sobotniego występu (10.09.2011) w ramach Ino-Rock Festiwal.

Kto nie zna albumu „Cinematic” i punktu widzenia artystów na preferencje twórcze, ten może zajrzeć do działu „Wywiady”, gdzie znajdzie rozmowę z Marcinem Grzegorzcykiem, gitarzystą ensemble.

Włodek K.

http://metalmundus.pl/articles.php?article_id=3170

Przylądek Muzycznej Przestrzeni

(Poland)  Przylądek Muzycznej Przestrzeni

InoRock Festival 2011

Witamy!



InoRock Przed

Raph: Choć jeżdżenie na koncerty to dla mnie nie pierwszozna to InoRock był dla mnie zupełną świeżością. Widziałem już Dream Theater, In Flames, trzy razy Riverside, dwa razy Opeth, Katatonia, Moonspell, Pearl Jam, mimo to zobaczenie na żywo Pain of Salvation było przeżyciem wyjątkowym, wprost nie do opisanego. Sam Inowrocław jest w ogóle bardzo ciekawym i sympatycznym miastem. Jest dużo starych, zniszczonych budynków, które zachwycają swym osobliwym przestarzałym pięknem. Miasto nie jest duże więc przejście z dworca na miejsce koncertu było przyjemnym spacerkiem. Od razu skupiliśmy się w większą grupę wyznawców PoSu więc atmosfera była jeszcze lepsza. Teatr letni, w którym odbywał się koncert zaskoczył nas niezmiernie. Cały teren z początku wydawał nam się za mały na pomieszczenie wszystkich fanów a scena teatru sprawiała wrażenie, że nie uniesie gigantów takich jak Pain of Salvation. Natomiast sam teatr letni położony jest w bardzo spokojnej okolicy. Niedaleko znajduje się solanka oraz ośrodek dla osób starszych a w powietrzu unosi się cały czas bardzo miła, spokojna atmosfera. Czas jednak na koncerty!

Shen: Minęło już kilka dni od wielkich wydarzeń w Inowrocławiu, emocje troszeczkę opadły i można w końcu skrobnąć kilka słów. Był to mój pierwszy raz na InoRocku i po tym co na nim przeżyłem, na pewno nie ostatni. Lebowski, Wolf People, Pain of Salvation i Brendan Perry - InoRock Festival na długo pozostanie w mojej pamięci. Ale może zacznę od początku.

Lebowski



Shen: Pierwszy zespół, który zobaczyliśmy na scenie, a którego nie miałem wcześniej okazji posłuchać. Polski zespół grający muzykę z pogranicza prog i art rocka, choć chyba lepszym określeniem byłby rock atmosferyczny bardzo blisko powiązany z filmem. Teraz kiedy słucham ich muzyki przez last.fm, robi to na mnie dużo większe wrażenie niż na koncercie. Zdecydowanie zabrakło odpowiedniego klimatu - za dnia, bez dodatkowych efektów czy wizualizacji

(których to można uświadczyc na ich koncertach w zamkniętych klubach) oraz to, że sample były momentami słabo słyszalne. Mimo wszystko wypadli bardzo dobrze i udało im się odpowiednio podgrzać atmosferę przed następnymi Wolf People. Mam nadzieję, że zagrają w pobliżu Olsztyna gdyż bardzo chętnie posłuchałbym ich gdzieś, gdzie mogliby w pełni rozwinąć skrzydła. Zachęcam do zapoznania się z ich muzyką i szczerze życzę im sukcesów.

Raph: Muszę przyznać, że nie przygotowałem się do koncertu Lebowskiego, a jest to z pewnością muzyka, do której trzeba się przygotować. Przed koncertem przesłuchałem jeden utwór, który zaciekał mnie i uznałem, że chcę usłyszeć więcej na żywo. Muzykę zespołu można określić jako art-rock z elementami rocka progresywnego. Jak się okazało pierwszy kontakt na żywo z twórczością Lebowskiego nieco mnie skołował. Natłok melodii zlewających się, czasami ciężkich do rozróżnienia nie wpłynął na pozytywny odbiór zespołu. Sample, czyli głosy aktorów, których Lebowski wykorzystywał z różnych filmów w swoich utworach, były słabo słyszalne i wręcz dekoncentrowały. Tutaj trzeba zwrócić uwagę nagłośnieniowcom, którzy spartolili sprawę. Gdy słucham Lebowskiego po przyjeździe to muszę powiedzieć, że zdecydowanie bardziej do mnie trafia. Jest to muzyka, do której potrzeba skupienia a nie myślenia: „kiedy wyjdzie gwiazda wieczoru?”. Z pewnością w jakimś mniejszym klubie z wizualizacjami miałyby to większy efekt i z chęcią dałbym Lebowskiemu jeszcze jedną szansę. Zwłaszcza gdyby to Lebowski był gwiazdą wieczoru ;)

InoRock Po

Shen: To chyba tyle odnośnie samej muzyki na festiwalu. Co warto jeszcze napomnieć, to jakże udane afterparty z chłopakami z Wolf People w jednym z Inowrocławskich pubów. Muzycy dali się poznać jako niesamowicie wyluzowani i zabawni goście. Udało nam się sporo podyskutować na przeróżne tematy. Z ciekawostek: Wyszło na jaw, iż inspirują się i są fanami dokonań polskiego Breakout czy Czerwonych Gitar (wypowiedzenie nazwy sprawiło im bardzo wiele problemów). Od Toma (perkusista) dowiedziałem się, iż wraz z wokalistą przeszli przez okres tworzenia muzyki bardzo blisko związanej z rapem, tudzież hip-hopem.

Raph: InoRock uznaję za imprezę bardzo udaną. Co roku występują tu gwiazdy, których dokonania z pewnością mogłyby i będą znajdować się na Przylądku. Jest to impreza

mała. Patrząc przez pryzmat Woodstocku, na którym byłem w tym roku powiem nawet: kameralna (pierwszy raz korzystałem z pachnących toi-toi!). Na jedyny minus zasługują nagłośnieniowcy, którzy odwalili fuszerkę na Painach i Perrym, którego głos momentami sprzęgał się. Po całym koncercie uderzyliśmy do zajebistej ekipy z Inowrocławia, którzy zaprowadzili nas do pubu gdzie oczekiwaliśmy na Wolf People. Jak się bawiliśmy można zaobserwować na zamieszczonych zdjęciach. Podsumowując: koncert bardzo dobrze zorganizowany, wrażenia niezapomniane, jedyne co pozostaje to jechać na InoRock 2012!

Specjalne podziękowania dla ludzi z Inowrocławia oraz Grzegorza Chorusa za udostępnienie zdjęć (całą galerię z tego wydarzenia można znaleźć [tu](#))

Pozdrawiamy,
Shen & Raph.

<http://przyladekmuzycznejprzestrzeni.blogspot.com/2011/09/inorock-festival-2011.html>

(Poland)  MAGAZYN GITARZYSTA

Ino-Rock Festival 2011 - 10.09.2011 - Inowrocław

Już po raz czwarty Teatr Letni w Inowrocławiu stał się główną areną festiwalu Ino-Rock. Bardzo to urokliwa i kameralna miejscówka, nadająca imprezie raczej niespotykanego na podobnych koncertach, sielankowego, czy wręcz familijno-piknikowego charakteru.

Na niespecjalnie wygodnych, drewnianych ławeczkach (coś miękkiego pod tyłek zdecydowanie wskazane) zasiadł więc pełny przekrój publiczności, od prog-rockowych fanatyków, przez podobnych mi mizantropów w czerni, po dziecięte rodziny wyposażone w koce i termosy. Kto chciał poczuć bliższą obecność muzyków, mógł rzecz jasna udać się pod scenę i, zwłaszcza podczas występu nieformalnej gwiazdy wieczoru (bo fakt, że gwiazdą był Pain of Salvation, raczej nie powinno budzić wątpliwości), skorzystać z tej opcji całkiem spory tłumek.



My zjawiliśmy się w Inowrocławiu po raz pierwszy, bowiem tegoroczny, bardzo dobry line-up nie pozostawiał miejsca na żadne dylematy. Ino-Rock okazał się imprezą świetnie zorganizowaną i prowadzoną zgodnie z grafikiem. Zagrzewająca do zabawy konferansjerka, pełna podziękowań dla zasłużonych w organizacji festiwalu, a przy tym chwilami niezamierzenie zabawna, stanowiła dodatkowy smaczek. Co najważniejsze, muzycy po gigach nie chowali się w garderobie, ale śmiało wychodzili do publiczności spragnionej autografów (szczególnie na świeżo nabytych płytach, dostępnych na całkiem niezłe zaopatrzonym stoisku z oficjalnym merchem), uścisków i, jakże by inaczej, pamiątkowych fotek.



Jako pierwsi na scenie pojawili się Szczecinianie z Lebowskiego. Wybór całkiem oczywisty, biorąc pod uwagę ubiegłoroczny, entuzjastycznie przyjęty "Cinematic", który narobił sporo zamieszania w artrockowym świecie. Nic dziwnego, bo ta muza nie pozostawia nikogo obojętnym, i co ciekawe, okazało się, że właściwość ta nie ogranicza

się tylko do kapeli w wersji studyjnej. Przeciągłe, klimatyczne, instrumentalne kompozycje bardzo dobrze sprawdzają się live. Czwórka muzyków tworzy na żywo zgrany kolektyw, co więcej, właśnie w warunkach scenicznych najlepiej słycać te partie, które na albumie zostały nieco schowane. Myślę tu zwłaszcza o świetnie brzmiącej w Inowrocławiu perkusji, a także o basie. Swoją drogą, miło było popatrzeć na wydobywającego najniższe częstotliwości Marka Żaka, który ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać. Choć Marcin Grzegorzczak zapowiadał prawie każdy utwór, zdecydowana większość setlisty wypadła mi z pamięci. Z debiutu można było usłyszeć na pewno m.in. "Trip to Doha", czy "Iceland", nie zabrakło też nowych kompozycji w postaci "Split Universe" i "Midnight Syndrome". Świeżynki zabrzmiały... mocniej. Zwłaszcza rozpoczynający się konkretnym riffem "Split Universe" przynosi nową jakość w twórczości Lebowskiego. Szczerze mówiąc, całkiem mi to odpowiada. Bardzo dobry koncert.

<http://www.magazynqitarzysta.pl/ludzie/artykuly/7922-ino-rock-festival-2011-10092011-inowroclaw.html>

(Poland)  PROGROCK.ORG.PL

Ino-Rock Festival 2011 - Inowrocław, 10.09.2011

Śmiało można powiedzieć, że Ino Rock to już dla rodzimych miłośników progresu obowiązkowy punkt w koncertowym kalendarzu. Imprez z mocną obsadą – krajową i nie tylko – pojawia się coraz więcej, ale to Ino wydaje się dzierżyć palmę pierwszeństwa. Czemu? Niewątpliwym plusem festiwalu jest atrakcyjna lokalizacja w dużym amfiteatrze. A progres wymaga przestrzeni. Wszystkie te piękne dźwięki muszą polecieć w eter, należycie wybrzmieć. Pozostaje też kwestia doboru wykonawców.



Progres niejedno ma imię, ale niektórzy fani (zwłaszcza ci świeżej daty) ograniczają go do najpopularniejszych jego odmian – rocka neoprogresywnego i progmetal. Na szczęście Piotr Kosiński i członkowie Quidam mają szerszą wizję i starają się dbać o zróżnicowanie stylistyczne. Na Ino zawsze można też liczyć na występ Legendy. Artysty bądź zespołu, który zapisał się w historii rocka złotymi zgłoskami. Widzieliśmy już na deskach inowrocławskiego amfiteatru Focus, Steve'a Hacketta i Ozric Tentacles. Tym razem rola klasyka przypadła Brendanowi Perry'emu, co wywołało wśród bywalców imprezy pewne kontrowersje. Czy Perry jest wielkim innowatorem, który szefując Dead Can Dance na nowo odczytał tradycję europejskiego, orientalnego i afrykańskiego folklu? Oczywiście! Czy zasługiwał na rolę headlinera? No jasne! Dziwnym wszakże trafem koneserzy proga nie zawsze uważają dorobek Brendana za „swój”. Może z uwagi na niewielką zawartość rocka w jego twórczości, tylko malejącą na kolejnych płytach? Perry jest uważany za guru przede wszystkim przez wszelkiej maści Gotów, darkfolkowców, darwave'owców – no, ogólnie wszystkich ubranych na czarno melomanów. Sad but true. Stawkę uzupełniali niezmiennie w Polsce popularni progmetalowcy Pain Of Salvation, przez sporą (zwłaszcza młodszą) część publiki uważani za główną atrakcję, retro rockowe objawienie w osobach Wolf People i rodzimy zespół Lebowski, który płynnie łączy proga z muzyką filmową. Czyli dla każdego coś miłego.

Organizatorom udało się uniknąć czasowego poślizgu, jaki miał miejsce rok wcześniej. Bramę otwarto o 16:30, a dokładnie pół godziny później redaktor Radia PiK Adam Drożdżik jak co roku ogłosił początek imprezy. Na rozgrzewkę oczywiście poszli Polacy. Lebowscy w świetle dziennym zostali pozbawieni immanentnego elementu swoich występów – filmowych wizualizacji. Ale nic to, i tak się obronili. Utwory z debiutanckiego Cinematica zostały przemieszane z nowymi, niezarejestrowanymi kompozycjami, które pokazywały nowe, bardziej drapieżne oblicze szczecinian. To już nie romanse i filmy szpiegowskie, to mogłyby być ilustracje do solidnego thrillera. Bohaterem koncertu był

według mnie gitarzysta Marcin Grzegorzczak, balansujący płynnie pomiędzy solówkami ostrymi i dostojniejszymi.

Po kilkudziesięciu minutach przerwy (w sam raz by potłoczyć się po coś do jedzenia w jedynym punkcie gastronomicznym, wrr!) na scenie zameldowali się Wolf People. Kudłaci Anglicy dwoma wydanymi w 2010 roku albumami dali się poznać jako miłośnicy dźwięków sprzed dobrych czterdziestu lat. Blues, folk psychodelia – wszystkie te ingrediencje można było usłyszeć na Tidings i Steeple. Okazuje się jednak, że Wolf People to przede wszystkim żywiol koncertowy. Ich kawałki na żywo zyskały na rock'n rollowej mocy – sekcja wyraźniej swingowała, gitary brzmiały mocniej. Tylko głos Jacka Sharpa pozostał delikatny jak na płytach, ale to akurat dobrze – jego śpiew to ważny element stylu zespołu. Adam Drożdżik słusznie nazwał Wolf People czarnym koniem festiwalu. Kojarzyło ich pewnie najmniej osób, ale swoim koncertem po prostu porwali zebranych. Spory tłumek tańczących pod sceną był tego najlepszym dowodem. Kapela udowodniła też swoją muzyczną erudycję kowerując Tale Of Taliesin Soft Machine i wplatając w jeden z utworów fragment... Poszłabym za tobą Breakoutu. Zresztą Jack Sharp w wywiadzie, który miałem przyjemność z nim przeprowadzić kilka miesięcy temu dał się poznać jako zapalony kolekcjoner płyt z różnych stron świata. Zgodnie z obietnicą po koncercie wręczyłem mu kilka polskich evergreenów. Z satysfakcją stwierdzam, że żadnego nie miał na półce. Ale już perkusista Tom Watt takie Niemen Enigmatic kojarzył świetnie i wypowiadał się o nim z wielkim uznaniem.

Pain of Salvation byli zdecydowanie najbardziej entuzjastycznie fetowanym tego wieczoru zespołem. i w sumie trudno się dziwić, bo wszelkie wytyczne rockowego show wypełniali idealnie. Widowiskowa gra świateł, dopracowane do perfekcji sceniczne ruchy, wymiany instrumentów (w pewnym momencie Daniel Gildenlow usiadł za zestawem perkusyjnym) i repertuar obejmujący wszystkie dokonania formacji od debiutanckiej Entropii aż do wychodzącej na dniach Road Salt vol.2. Co dziwne, nie dało się wyczuć jakiegoś wielkiego rozdźwięku między wcześniejszymi dokonaniem PoS a materiałem z dyptyku Road Salt, zdecydowanie bliższym klasycznemu hard rockowi. Na koncercie Daniel i spółka potrafią nadać swoim odległym stylistycznie dokonaniom jednolite brzmienie. Dodajmy – brzmienie potężne. Znakomicie sprawdzały się firmowe harmonie wokalne. To był kawał świetnego, stylowego progmetal. Dam jednak głowę, że na każdym koncercie obecnej trasy Paini z mniejszymi bądź większymi modyfikacjami odtwarzają te same pozy, w tych samych momentach na scenie zapada mrok, z którego wyłania się postać frontamana itp. Z całym szacunkiem dla profesjonalizmu Szwedów – nieopierzeni Wolf People wydawali się bardziej spontaniczni.



Czego spodziewać się po koncercie Brendana Perry'ego - wiedziałem. Miałem okazję oglądać go w zeszłym roku podczas kameralnego występu na dziedzińcu ostródzkiego zamku. Szczerze mówiąc – wtedy wypadł lepiej. I bynajmniej nie chodzi mi o formę wykonawczą. Baryton Brendana powinien być chroniony przez UNESCO jako dziedzictwo światowej kultury, a i akompaniujący mu zespół był świetnie zgrany (wszak promocja albumu Ark trwa już ponad rok!). Będę jednak podtrzymywał, że Perry znalazł się może i we właściwym miejscu, ale na pewno o niewłaściwej porze. Jego muzyka, czy to z czasów Dead Can Dance czy solowa, pełna jest spokoju i zadumy, a to niekoniecznie dobry

pomysł na koniec festiwalu. Perry jako rozładowanie napięcia między energetycznymi występami Wolf People i Pain Of Salvation sprawdziłby się świetnie, ale grając na końcu był w stanie liczyć tylko na swoich żelaznych zwolenników – reszta mogła się lekko znudzić. Zanotować wypada, że Brendan zaprezentował dużo nowego materiału, zbliżonego do stylistyki Ark – jej następczyni może być naprawdę udana. Niestety odbyło się to kosztem utworów z pierwszego solowego albumu Brendana, Eye Of The Hunter. Nie zabrzmiał żaden z nich, nawet genialna Medusa. Z klasyki Dead Can Dance usłyszeliśmy m.in. Carnival Is Over i The Spirit.

Wobec sztuki trudno być obiektywnym. Opisałem czwarty Ino Rock taki, jakim go zapamiętam, choć zdążyłem się już spotkać z diametralnie odmiennymi opiniami. W tym akurat wypadku wszyscy się mylimy i jednocześnie mamy rację. Z ręką na sercu jednak mogę napisać, że tegoroczny festiwal dostarczył mi masy pozytywnych doznań. A za rok mały jubileusz – grzech nie przyjechać!

Tekst: Paweł Tryba

<http://www.progrock.org.pl/content/view/7679/62/>

(Poland)  ROCKMETAL

relacja: "Ino-Rock Festival 2011", Inowrocław "Teatr Letni"



Pain Of Salvation, Inowrocław 10.09.2011, fot. G. Chorus

To już po raz czwarty jestem w Inowrocławiu na "Ino-Rock Festival". Spoglądając na twarze zgromadzonych fanów, miałem nieodparte wrażenie, że sporo z nich już kiedyś widziałem. Prawdopodobnie właśnie tutaj. Zresztą nie tylko, kilka osób spotykam też na innych koncertach w Polsce. Ta impreza nabiera coraz ważniejszej rangi w gronie rockowych widowisk i przyciąga stałą widownię. Jest to ostatni z wakacyjnych festiwali w naszym kraju (mam na myśli, że ostatni każdego lata). Gdy wszedłem do amfiteatru, od razu zwróciłem uwagę na odnowioną scenę oraz nową posadzkę na podłożu. Wyglądało także na to, że lekkiemu odświeżeniu poddane zostały także ławki. No i ogrodzenie całego terenu też jakby wypiękniało. Oprócz tego po sąsiedzku wyrósł nowoczesny obiekt sportowy - stadion. O godzinie 17:00, czyli zgodnie z rozkładem jazdy, na estradzie pojawia się konferansjer i już za parę minut rozpoczyna swój koncert pierwszy wykonawca.



Lebowski, Inowrocław 10.09.2011, fot. G. Chorus

Lebowski, 17:05 - 17:45

Ten młody kwartet ze Szczecina ma już na swym koncie wydaną jedną płytę - "*Cinematic*". Rozpoczęli utworem "*Trip to Doha*", otwierającym album. Grupa prezentuje muzykę instrumentalną o spokojnej barwie, gdzie klimat tworzą atmosferyczne gitary i klawisze. Cechą charakterystyczną ich brzmienia na debiucie są wplątane fragmenty dialogów z polskich filmów powstałych w latach sześćdziesiątych (między innymi głosy aktorów: Leona Niemczyka i Zdzisława Maklakiewicza). Dalej zagrali kolejne dwa kawałki, czyli "*Aperitif for Breakfast*" i tytułowy "*Cinematic*". W swoim krótkim secie artyści pokazali nam także mocniejsze oblicze w postaci dwóch nowych nagrań z przygotowywanej drugiej płyty, jedno z nich - "*Midnight Syndrome*" - zakończyło występ. Lista utworów: *Trip to Doha*, *Aperitif for Breakfast*, *Cinematic*, *Split Universe*, *Iceland*, *Midnight Syndrome*.

Czwarta edycja "Ino-Rock Festival" ugruntowała rosnącą z roku na rok markę tej plenerowej imprezy. Jeżeli chodzi o program, każdy ze słuchaczy mógł jak zwykle znaleźć coś dla siebie. Organizacyjnie też to jest już bardzo dobry poziom. Czekamy na piąte spotkanie z muzyką rockową w Teatrze Letnim w Inowrocławiu. Chyba nie muszę zapewniać, że się tam wybieram po raz kolejny. Do zobaczenia.

Autor: Meloman

<http://www.rockmetal.pl/relacje/ino.rock.festival.2011-inowroclaw.11.html>



(Poland)  **ROCKAREA**

Tak się akurat składa, że miesiąc wrzesień dla jednych jest najmniej oczekiwanym miesiącem w roku, a dla innych okresem, na który czekają praktycznie calutki rok. Powód? Rzecz jasna inowrocławski Ino-Rock! Wydarzenie muzyczne, które już czwarty raz z kolei skupia w sielankowej scenerii Parku Solankowego liczne grono sympatyków muzyki progresywnej. Tradycyjnie już impreza ta organizowana jest zgodnie ze sprawdzoną regułą: obiecująca grupa polska (tym razem Lebowski), młoda rokująca nadzieje na przyszłość grupa zagraniczna (słusznie padło na Wolf People) i dwa renomowane zespoły różniące się znacznie od siebie charakterem wykonywanej muzyki (Pain Of Salvation, Brendan Perry).



Lebowski!!! No właśnie. Ich debiutancka płyta "Cinematic", odbiła się szerokim echem wśród rozmiłowanych w niebanalnych dźwiękach pasjonatów muzyki, zawładnęła również nami. Muzyka z tego albumu towarzyszyła nam również podczas jazdy. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności liczne filmowe cytaty zamieszczone na płycie, wyjątkowo pasowały do sytuacji.

"Wszystko przebiega zgodnie z moim planem..."

Tradycyjnie (zgodnie z planem) wyruszyliśmy do Inowrocławia spod zajazdu Uroczysko, stałym punktem startowym naszej wyprawy.

"Zdążymy, tym razem na pewno zdążymy..."

Po drodze nie mogliśmy jednak uniknąć postoju - żołądki boleśnie domagały się pożywienia.

"Tak mało czasu..."

Mimo wszystko zdążyliśmy! Pół godziny przed planowanym rozpoczęciem festiwalu zaparkowaliśmy nieopodal Parku Zdrojowego. Wychodząc z samochodu zerknęliśmy w górę.

"Piękne chmury..."

Liczne chmury pokrywały niebo, prognozy pogody nie przewidywały w tym dniu jednak deszczu. Inowrocławski festiwal ma wyjątkowe szczęście do aury. Pomimo, że jest to chyba najpóźniej odbywająca się plenerowa impreza muzyczna w naszym kraju, również i tym razem było wyjątkowo ciepło.

Z wieloma napotkanymi podczas wejścia osobami spotykamy się co roku, miło znowu zobaczyć i przywitać uśmiechnięte twarze ludzi o pokrewnych zapatrywaniach muzycznych.

Z teleekspresową punktualnością (o godzinie 17-tej), wszystkich zebranych gości przywitał jak zwykle Adam Drożdżik, zapowiadając pierwszą w tym dniu muzyczną atrakcją. Na scenie pojawił się Leboooooowski !!!

"Pójdziemy powitać drogiego nam gościa, geniusz, pochyli czoło..."

Zespół Lebowski musiał dzielnie stawić czoła wszystkim niedogodnościom, jakie spływają na zespół, który inauguruje imprezę mającą festiwalową formę (granie przy dziennym świetle, umiarkowane nagłośnienie w stosunku do zespołów kończących festiwal, ograniczone ramy czasowe, nie pozwalające zbyt rozwinąć skrzydeł). Mimo wszystko zespół zaprezentował się godnie (chylimy czoło!). Ze sceny spływała autentyczna radość grania. Zaprezentowali głównie kompozycje ze swojej debiutanckiej płyty: "Trip To Doha", "Cinematic", "Spiritual Machine", "Iceland", ale dali również próbkę tego, co będziemy mogli znaleźć na kolejnej płycie. Usłyszeliśmy bowiem dwie premierowe kompozycje: "Split Universe" oraz "Midnight Syndrome", którą to kompozycją musieli niestety zakończyć swój występ. "Midnight Syndrome" - nie ma tutaj mowy o żadnym "syndromie drugiej płyty"! Mam wrażenie, iż nie stracili nic ze swej oryginalnej stylistyki, jednak nowa próbka ich muzyki brzmi zdecydowanie bardziej żywiołowo.



Krótką przerwą, by mógł pojawić się przedstawiciel brytyjskiej sceny, swoją muzyką nawiązując do czasów rozkwitu muzyki rockowej. Panie i panowie, były czasy Seattle, przysłała pora na okres rozkwitu "retro rocka", a prawdziwą "Nirvaną" tego gatunku może okazać się właśnie Wolf People! Adam Drożdżik wróżył, że będzie to czarny koń tej edycji Ino Rock i rzeczywiście tak było. Liderem grupy jest gitarzysta i wokalista Jack Sharp, towarzyszyli mu: Joe Hollickb (gitara), Dan Davies (bas) i Tom Watt (perkusja). Młodzi Brytyjczycy porwali swoją grą, w szczególności młodszą część inowrocławskiej publiczności, co napawa optymizmem na przyszłość! Wolf People wybornie wskrzesił klimat muzyki rockowej schyłku lat 60-tych i początku 70-tych. Na dodatek muzyka, którą preferuje ten młody zespół zdecydowanie zyskuje w odbiorze na żywo! Podobnie, jak w przypadku Lebowskiego zaprezentowali głównie materiał ze swojej debiutanckiej płyty "Steeple", znalazło się też miejsce na świetny cover, w postaci kompozycji "Tale of Taliesin" Soft Machine.

Pora na kulminacyjny punkt wieczoru, należy bowiem jasno powiedzieć, że właśnie dla tej grupy, przybyła do Inowrocławia duża część zgromadzonej publiczności.

"Niepokój w naturze, zaraz będzie burza... dramat rozegra się w oprawie rozszalałych żywiołów..."

Szwedzi z Pain of Salvation (podobnie zresztą jak zeszłoroczna gwiazda Ino Rock, Anathema), ma w naszym kraju od dawna zagorzałe grono zwolenników. Coś jest w tych zespołach, że ich muzyka ulega radykalnym, ryzykownym zmianom stylistycznym, a paradoksalnie nie ubywa im sympatyków - przeciwnie, zyskują nowych? Obszar pod sceną szczelnie zapełnił się, rozbłyły światła a zapadający zmrok sprzyjał dodatkowym ważeniom estetycznym. Chociaż na 26 września planowana jest premiera drugiej części "Road Salt", scenę zdobiła okładka "Road Salt One" - co wróżyło, że nie usłyszymy zbyt wiele z nowego materiału. Na początku zabrzmiały: "Of Two Beginings" oraz znakomity "Ending Theme" z

"Remedy Lane", po nim "Linoleum", ze wspomnianej "Road Salt One". Od swoich towarzyszy podróży usłyszałem słowo "nie marudź" (oni wiedzą, że bardziej cenię właśnie te wcześniejsze płyty). Następnie zabrzmiał "Ashes", dzięki któremu znów znalazłem się w "muzycznym niebie". Powrót do muzyki z "Road Salt" w postaci kompozycji "No Way" oraz "Of Dust" wysłuchałem (nie marudząc), za co zostałem sownie wynagrodzony kompozycją "Kingdom Of Loss" ze "Scarsicka". Znów powrót do "Road Salt" w postaci lirycznej kompozycji tytułowej, po niej fragment monumentalnego "Be", kompozycja "Diffidentia" i wreszcie krótka odsłona nowej płyty, "Conditioned". Była również wędrownka do ich muzycznego debiutu ("Entropia" - 1997), w postaci kompozycji "Nightmist" - to właśnie nią Pain of Salvation zakończyli oficjalną część koncertu. Na późną kolację, w postaci bisów zabrzmiał cover Johna Lennona "Working Class Heroes", zagrany przez Gildenlöwa na perkusji. Na zakończenie zaserwowali nam przepyszny "Falling" i "The Perfect Element", z tejże płyty, od której zaczęła się właściwie moja muzyczna przygoda z Painami. Charyzmatyczny lider Pain of Salvation, Daniel Gildenlöw lubi ostatnio zmieniać swój wizerunek. Miałem okazje widzieć go trzykrotnie (w krakowskiej "Rotundzie", podczas trasy z Transatlantic w Poznaniu oraz teraz) za każdym razem jego fryzura ulegała zmianom stylistycznym, podobnie jak kolejne płyty, które wydaje. Tym razem z powodzeniem mógłby zastąpić Balcara w inscenizacji rock opery "Jesus Christ Superstar". Krótkie włosy, które nosił w Poznaniu zdążyły sporo odrosnąć. Daniel oszczędzał pewnie na żyłkach, fundując sobie też bardzo męski zarost. Najważniejszy jednak jest oczywiście nie wygląd (przynajmniej dla męskiej części publiczności), ale jego znakomite walory głosowe.

Jako gwiazda wrześniowego wieczoru w Teatrze Letnim na scenie pojawił się Brendan Perry, by zaprezentować utwory ze swojego solowego repertuaru. Trudno było wyciszyć ten cudowny niepokój w muzycznych sercach po energetycznym występie Pain of Salvation, bo muzyka Brendana to trochę inna muzyczna bajka, ale równie piękna. Koncert Brendana stanowił doskonały kontrast do "rozszalałych żywiołów", który wywołał koncert Pain Of Salvation.

"Muzyka dodekafoniczna, albo elektronowa? Piękne..."

Nad Inowrocławiem rozchodziły się magiczne dźwięki otulone tym razem nie światłami latarni morskiej lecz jasnym blaskiem księżyca. Oczywiście nie mogło zabraknąć utworów Dead Can Dance i myślę, że ludzie czekający właśnie na nie - nie zawiedli się. Brendan Perry ma wyjątkowy głos, który tradycyjnie oczarował i niejedna osoba mogła się rozmarzyć, powspominać i popłynąć wraz z muzyką. Wspaniale było usłyszeć choćby "In Power We Entrust The Love Advocated", "A Passage in Time", czy absolutnie magiczny "Carnival is Over i Severance". Dodatkowo artysta zaprezentował cover niezapomnianego "Song to the Siren" Tima Buckleya. W tym wszystkim brakowało mi tylko (lub aż) głosu Lisy Gerrad i...kto wie może jeszcze będzie nam dane usłyszeć ten jedyny w swoim

rodzaju duet na odrębnym nie festiwalowym występie. Brendan Perry rozsiał swoją magię i człowiek się rozmarzył. Do zobaczenia na koncercie Dead Can Dance...

To była nasza trzecia wizyta, w zielonym sercu Kujaw. Zabrakło nas jedynie na pierwszej edycji tego niezwykłego festiwalu, i nie wyobrażamy sobie aby nie wrócić tutaj ponownie. Naszym marzeniem zawsze było (jest), aby przyjechać do Inowrocławia zdecydowanie większą ekipą, więc może właśnie za rok?

"Tym razem się nie udało, ale następnym razem...?"

Pewnie dla wielu znajomych taką barierą, która zniechęca, do podjęcia trudu jest odległość? Jednak...

"Mniemam, że od jednego końca świata, do drugiego, historia miłości jest jednakowa..."

Miłości do muzyki, oczywiście.

Marek Toma i Katarzyna Respondek

http://rockarea.eu/articles.php?article_id=2182



(Poland)  **ROCKAREA**

2011.09.10 - INO ROCK – INOWROCŁAW

Jak szybko minął rok od poprzedniej edycji inowrocławskiego festiwalu Ino-Rock, wiedzą tylko ci, którzy spotkali się w sobotni wieczór po tych dwunastu miesiącach, uścisnęli sobie serdecznie ręce, wypili ochrzczone piwo za złotych cztery i obserwowali z uśmiechem na ustach scenę rozświetloną pomarańczowym światłem zachodzącego słońca. To bodaj jedyne tak charyzmatyczne wydarzenie koncertowe w Polsce, festiwal pachnący niemal małomiasteczkowym klimatem lub imprezą z okazji dożynek (tylko karuzeli obok brakuje, doprawdy), na którym zobaczyć można największe gwiazdy szeroko pojętej muzyki progresywnej. Nikt mnie specjalnie zachęcać do przejechania pół kraju nie musiał, pamiętam wciąż przepiękny koncert Anathemy w zeszłym roku (zakończony nocną wyprawą po sennych ulicach z Danielem Cavanagh), a do tego rzucono hasło, że jedną z gwiazd wieczoru będzie Pain of Salvation. Zespół, którego motorem napędowym są moje ulubione struny głosowe prog rocka - Daniel Gildenlöw (z tym "ö" zawsze są problemy, cholera). Nie bacząc nawet na będącą w trakcie studencką kampanię wrześniową (której jestem uczestnikiem, niestety), spakowałem swój nieodłączny plecak i ruszyłem w podróż przepełnioną pociągowym ścisaniem i wonią potu wymieszaną z nutką przedwczorajskich skarpetek. Czego, moi kochani, oszczędzę Wam w poniższym sprawozdaniu. Nie zmienia to jednak faktu, że korzystający z usług PKP podróżnicy powinni te skarpetki regularnie zmieniać, bo w końcu jakiś Greenpeace czy Przyjaciele Ziemi się do nich dobiorą, toż to regularne skażenie środowiska.

Teatr Letni był uroczy, uwielbiam tę miejscówkę. Skąpany w promieniach żegnającego się z naszą półkulą słońca, okrążony drzewkami, przypominający losowy wiejski amfiteatr - cud, miód, orzeszek. Kilka namiotów z prowiantem, frytasy za czwórkę, kurczak niemal dwie dyszki, do wyboru, do koloru. Stała ekipa, najwięksi zapaleńcy muzycy, redaktorzy zarówno z mojej śmietanki, jak i pozostałych, wszyscy w dobrym humorze, gotowi na wielką dawkę emocji (jak widać, nikt oprócz nas nie wpadł na pomysł, aby dzień wcześniej wrzucić umysł na rozgrzaną patelnię pod tytułem "Oszukać przeznaczenie 5" i skazać go tym samym na utratę ostatnich szarych komórek). Festiwal zaczął się punktualnie, na scenę wkroczył szczeciński zespół Lebowski. Chłopaki "czują" dobrze swoją muzykę, stworzyli bardzo miłą ścieżkę dźwiękową do zachodu słońca. Marcin Grzegorzczak szybko złapał wiatr w żagle, znaczy się we włosy, powiewające niczym na hardrockowym teledysku z lat osiemdziesiątych, dzięki czemu zwracał najwięcej uwagi. Zagrano nawet co nieco z nadchodzącego albumu i wszystkich zwolenników "Lebałskjeg" uspokajam - materiał ma więcej energii, brzmi nośniej i przyjemnie.

Jeżeli jednak o nośności mowa, trzeba wspomnieć o czarnym koniu Ino-Rock 2011, czyli brytyjskim zespole Wolf People. Panów znałem wcześniej jedynie z radiowej Trójki, jednak zrozumienie dla Kosiakowych zachwyty przyszło dopiero podczas sobotniego występu. Muzyka, którą proponuje kwartet wyglądający jak wypuszczone z garażu obdarciuchy, to rewelacyjnie przyrządzony retro rock z folkowymi wpływami. Dźwięki ich utworów są tak nośne, że aż chce się skakać i wygląda na to, że porwali każdego bez wyjątku, nie spotkałem się jeszcze z negatywną opinią na temat występu (inna sprawa, że większość osób, z którymi rozmawiałem, poznała Wolf People lepiej, w warunkach

niekoniecznie koncertowych). Zebrali ogromny aplauz i nie kryli zaskoczenia taką sytuacją. Wróć do nas, o to jestem spokojny.

Słońce zaszło, pod sceną zrobiło się tłoczno (miejsce przed barierką to trofeum, po które sięgnęliśmy zawczasu, znaczy jeszcze podczas występu Wolf People), napięcie wzrosło, wszystko było jasne - czas na prawdziwą gwiazdę wieczoru (z całym szacunkiem dla Perry'ego, ale ewidentnie "przegrał" na tym festiwalu). Serce ruszyło mi szybciej przy dźwiękach puszczanego z taśmy "Remedy Lane". Na scenę wkroczyło całe Pain of Salvation, jednak największą wrzawę podniósł, rzecz jasna, główny heros - Daniel Gildenlöw. Dalej wszystko potoczyło się jak w zeszłym roku na Metal Hammerze - "Of Two Beginnings" połączone z poruszającym "Ending Theme". Problemy natury technicznej szybko znikły za sprawą czujnych dźwiękowców, niesamowity głos wybił się na prowadzenie. Umiejętności, jakie posiada ten uwielbiany przez damską część fanów jegomość, są po prostu zatrważające. Przejście z chrypliwego szeptu w szokujący krzyk przychodzi mu z taką łatwością, jak mnie zjedzenie paczki żelek-miśków w drodze pociągiem. Mocno uderzyli wraz z wymęczonym "Linoleum" - głównym reprezentantem ostatniego krążka. Oprócz niego był także dłuższy o kilka wersów "No Way", wzruszający "Road Salt" i grany od miesiąca "Conditioned" z "Road Salt Two" (puszczanego z taśmy "Of Dust" nie uwzględniam, nie liczy się, tej). A co z ludźmi, których "surowe" dokonania Szwedów sprzed roku mniej pociągają? Usłyszeli nieśmiertelne "Ashes" (dziwi brak "Used"), poszaleli przy "Diffidentii" (nie jestem pewny, czy powinienem odmieniać, ryzykuję), wysłuchali monologu na temat kierunku, w jakim zmierza rasa ludzka ("Kingdom of Loss") i przypomnieli sobie stare czasy przy "Nightmist" (podczas którego 1) pojawiła się wstawka reggae 2) Daniel przeprosił za rozszalałą, heavymetalową solówkę słowami: "To był 1997, wybaczenie"). Lider pokazał też swoje umiejętności perkusyjne, gdy zajął miejsce Léo Margarita podczas coveru "Working Class Heroes" (zagranego, jeżeli wierzyć słowom zespołu, po raz pierwszy). Całość zwieńczyli bez większej niespodzianki, rozpierając system wydłużonym o "Falling" tytułowym utworem z "The Perfect Element".

Widać było, że zespół jest w formie i są gotowi ruszyć w świat ze swoim najmłodszym dzieckiem, "Road Salt Two", którego premierę zaplanowano na 26 września. Świetnie wykorzystano ubogie oświetlenie i maszyny do dymu, nadając każdemu momentowi większy charakter i dodając kilka punktów do poziomu wzruszenia. Zespół nie kazał długo na siebie czekać pod sceną, wyszli do fanów, uzbrojeni zaledwie w długopisy i nieustający uśmiech na ustach. Największą cierpliwość okazał Gildenlöw, wyczekał do samiusieńkiego końca wygłodniałych zwolenników zdjęć typu "patrzcie, znam wokalistę Pain of Salvation, byliśmy razem na piwku!" (nie śmieję się, sam takie zdjęcie, jak widać, zdobyłem). Gdy Pain of Salvation wróciło za scenę, koncert Brendana Perry'ego był już w toku. Przyznam jednak szczerze, że ani chęci, ani siły na muzykę męskiej części Dead Can Dance już nie wykazywałem i byłbym pewnie przysnął na jednej z ławeczek, gdyby nie...

Ekipa z Wolf People, która bardzo nie chciała iść spać i szukała imprezowego towarzystwa. Zgadnijcie, w kim takowe odnaleźli!? Inowrocław do największych miast nie należy, ale miejscówka o nazwie American Pub zaoferowała nam swoje usługi do godziny późnonocnej. Na tym jednak zakończymy, drodzy Czytelnicy, ponieważ nie o wlewaniu z zespołami w swe gardła nadmiernej ilości zagadkowo nazwanych trunków przyszłście tutaj przeczytać, prawda? Niech twarze panów z Wolf People podsumują wszystko za mnie!

No dobrze, Ino-Rock to wspaniała impreza, której za rok nie możesz za nic w świecie opuścić ;)

Adam Piechota

http://rockarea.eu/articles.php?article_id=2175



(Poland)  ARTROCK.PL



Czwarta edycja tego festiwalu jest już za nami. Przyznaję, że była to moja pierwsza muzyczna wyprawa do tego miasta. W tym roku wystąpiły takie zespoły jak Lebowski, Wolf People, Pain of Salvation i legendarny Brendan Perry.

Koncert w życiu widziałem niejedną, w klubach, dużych salach, w plenerze itd., ale kilka rzeczy w Inowrocławiu mnie zaskoczyło. Przede wszystkim bardzo ładne położenie Amfiteatru Letniego w Parku Solankowym. Sam obiekt, choć podobno w tym roku wyremontowany nie wygląda jakoś nadzwyczajnie, to panuje tam świetny klimat. Teren jest zadrzewiony, a po zmroku w pełni księżyc wyglądał naprawdę bajecznie.

Zgodnie z planem, punktualnie o 17 na scenie pojawiła się szczecińska formacja Lebowski ze swoim instrumentalnym spektaklem z cyklu „muzyka do nieistniejącego filmu”. Zespół zagrał utwory ze swojego debiutanckiego, bardzo dobrego krążka Cinematic, a także nowe kompozycje, które jak zapowiedział gitarzysta – Marcin Grzegorzczak znajdują się na kolejnym wydawnictwie Lebowskiego. Był to bardzo udany występ, który po zmroku, w odpowiedniej aurze, w blasku świateł smakowałby jeszcze bardziej. Po trwającej około kwadransa przerwie, na deskach teatru pojawili się młodzi Brytyjczycy z Wolf People. Niestety na tym koncercie dość mocno się wynudziłem i to nie dlatego, że zespół grał źle – nie, grał nawet dobrze, ale bardziej chodzi o to, co grał. Nie podoba mi się też maniera wokalna lidera – Jacka Sharpa, ale to oczywiście kwestia gustu. Muzycy mają aspiracje do grania rocka psychodelicznego i owszem słychać tam jakieś naleciałości starego Pink Floyd, trochę Jethro Tull czy zespołów ze Sceny Canterbury. I gdyby był to przegląd młodych kapel, przymknąłbym oko i na tle innych pewnie wypadliby nieźle. Niestety w tym towarzystwie wyszło to marnie. Chociaż bez bicia przyznaję, że swoją interpretacją „Tale of Taliesin” legendarnego Soft Machine mnie urzekli.

Kolejny antrakt trwał ponad pół godziny, ponieważ zmiana wyglądu sceny, wniesienie oraz podłączanie sprzętu kolejnej gwiazdy Ino-Rock było bardziej czasochłonne. Ponadto w międzyczasie zaczęło się ściemniać, a nad głowami widzów zaczęło gęsto przelatywać szykujące się do snu ptactwo. Gdy prawie zapadł zmrok, punktualnie o 20 na scenę wkroczyła grupa Pain of Salvation. Mocno przebieierałem nogami na występ Szwedów. Kwartet dał z siebie wszystko, zagrał bardzo przekrojowy materiał, pojawiły się zarówno stare jak i nowe kompozycje (przypomnijmy iż 26 września br. grupa wydaje nowy album Road Salt Two). Wszystko wyglądało i brzmiało bardzo profesjonalnie, muzycy znakomicie czują się na scenie, a wokalista i gitarzysta – Daniel Gildenlöw nie dość, że posiada świetny wokal to okazał się wspaniałym konferansjerem; żywo dyskutował z publicznością, a ta z każdym utworem grupy była jeszcze bardziej pobudzona. Inowrocławski amfiteatr tak naprawdę dopiero na ich koncercie bardzo się zapełnił, a pod sceną stał gęsto ściśnięty, spory tłum ich miłośników. Pod koniec występu grupa z przymrużeniem oka pokazała, że nie boi się grać swoich utworów w aranżacjach bluesowych, czy reggae. Wyszło to znakomicie i z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że

był to najlepszy koncert tego wieczoru. Mam też nadzieję, że panowie z Wolf People wyszli zza kulis i obejrzel ten koncert, może jakąś naukę z tego pobiorą.

Jako czwarta i zarazem ostatnia gwiazda tegorocznego festiwalu wystąpił Brendan Perry i to był (właśnie miał być) ten koncert, na który czekałem najbardziej. Tego artysty chyba nie trzeba nikomu przedstawiać: kompozytor i multiinstrumentalista, brzydsza połowa duetu Dead Can Dance, ma również na swoim koncie dwa albumy solowe: Eye of the Hunter (1999) i wydane w ubiegłym roku Ark. Skąpany w blasku księżyca muzyk wraz z zespołem pojawił się na scenie, gdy tylko wybiła godzina dziesiąta. Usłyszeliśmy głównie materiał z płyty Ark, choć nie zabrakło przepięknego „Wintersun”, oraz takich kompozycji jak „Utopia”, „The Bogus Man”, czy „Sevance” z repertuaru Dead Can Dance zagrane na bis. Artysta dzień wcześniej wystąpił w Warszawie, a z Inowrocławia udał się na dwa kolejne polskie koncerty, do Szczecina oraz Wrocławia. Wbrew obawom zgromadzony pod sceną tłum nie zelżał, a sam występ był naprawdę bardzo udany. Niestety pozostał w sercu mały niedosyt. Jak wspomniałem, na ten ostatnio koncert czekałem najbardziej, tego wieczoru był to mój faworyt... Niestety taka muzyka nie pasuje do formy festiwalu, powinna być raczej ulokowana w jakimś małym, kameralnym klubie. Artysta jest w rewelacyjnej formie, a sam koncert oczywiście był udany i zagrany na wysokim poziomie. Pstryczek w nos należy się tylko panom odpowiadającym za dźwięk właśnie na tym ostatnim występie – można było lepiej dopracować nagłośnienie - momentami było trochę za głośno (szczególnie perkusja).

Nie żałuję tej wyprawy, bo było warto i polecam kolejne edycje Ino-Rock każdemu, kto nie był. W stolicy Kujaw Zachodnich panuje niezapomniana koncertowa atmosfera i na deser po wszystkich wakacyjnych koncertach, festiwalach można zobaczyć coś troszkę innego i wyszukanego, gdzie każdy na pewno znajdzie coś dla siebie. Nie wiem też jak udaje się to organizatorom, ale zawsze trafiają w piękną pogodę. W tym roku było słonecznie, a noc jak na wrzesień i ostatnie dni nawet ciepła. Rozmawiałem z kilkoma osobami, które przyjeżdżają na Ino-Rock od pierwszej edycji i wspominały, iż aura zawsze dopisuje. Plusem jest również organizacja całości, miła i uprzejma obsługa, ochrona i punktualność. Ja już czekam na kolejną, jubileuszową, piątą edycję festiwalu. Podobno ma być wtedy coś specjalnego. Zobaczymy, rok szybko minie, a ja już nie mogę się doczekać. W drodze powrotnej z Naczelnym deliberowaliśmy o różnych rzeczach, m.in. obstawialiśmy przyszłoroczne typy. Ja chciałbym Katatonie, Klausu Schulze z Lisą Gerrard (tak dla równowagi) i Wojtku Hoffmanna z Drzewami.

Łukasz Modrzejewski

http://artrock.pl/zagrani/612/ino-rock_festival_2011.html



(Poland)  **DARK PLANET**

Relacje : Ino-Rock Festival 2011 - Teatr Letni, Inowrocław (10.09.2011)

Kolejna edycja Ino-Rock Festival w Inowrocławiu już za nami. Na scenie zaprezentowały się cztery zespoły: Lebowski, Wolf People, Pain Of Salvation oraz gwiazda wieczoru Brendan Perry. Zorganizowana po raz czwarty, ciesząca się dużym zainteresowaniem impreza, ponownie przyciągnęła sporą publiczność, która mogła pobawić się na koncertach zespołów i wykonawców, którzy niekoniecznie są podobni do siebie stylistycznie. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie, a działo się naprawdę dużo.

Po sukcesie poprzednich trzech edycji festiwalu, kiedy w Teatrze Letnim w samym centrum Inowrocławia zagrały takie zespoły, jak Riverside, Quidam czy Anathema, organizatorzy po raz kolejny skomponowali niezwykle atrakcyjny i przyciągający skład. Poza tym na ogromną pochwałę zasługuje organizacja imprezy oraz sam jej klimat. Praktycznie brak osób przypadkowych, średnia wieku 35-40 lat. Frekwencja świetna, pogoda dopisała, a sam festiwal miał niezwykle miły i przyjazny charakter. Każda osoba z publiczności doskonale zdawała sobie sprawę, co w tym miejscu robi i na jaki występ przyjechała. Między koncertami, albo czasem i w trakcie, można było spokojnie wyskoczyć na piwo, coś do jedzenia, bez stania w większych kolejkach. To samo tyczy się przenośnych toalet: czysto i bez długich kolejek. No i oczywiście jeden z najważniejszych aspektów - nagłośnienie. Ogromny pozytyw, prawie każdy koncert dobrze nagłośniony, bez większych wpadek. Idealnie było słyszeć każdy dźwięk, instrument i oczywiście na pierwszym planie wokół, w przypadku zaprezentowanych wykonawców, perfekcyjny.

Lebowski, szczeciński zespół założony w 2002 roku, zaprezentował się na scenie, jako pierwszy. Muzykę zespołu można określić jako progresywną, filmową, eksperymentalną i art rock. Dopiero po ośmiu latach istnienia, w 2010 roku, wydali swoją pierwszą płytę, "Cinematic", na której znalazła się, jak sam określił zespół, muzyka do nieistniejącego filmu. Debiut płytowy zdobył wiele pochlebnych recenzji i sprawił, że zarówno w Polsce, jak i na świecie zrobiło się głośno o zespole. "Cinematic" uznawany jest za koncept album, dedykowany wielkim postaciom polskiego kina. Jest spójny, nastrojowy i zawiera wiele ciekawych aranżacji, o czym mogli się przekonać uczestnicy koncertu. Lebowski ma wielu fanów, o czym świadczyć może długa kolejka do muzyków po koncercie, w celu zdobycia autografów na płycie bądź wspólnego zdjęcia.

Ino-Rock Festival śmiało mogę polecić każdemu miłośnikowi muzyki alternatywnej, otwartemu na nowe brzmienia. Przekrój zespołów i gatunków muzycznych ogromny i każdy z pewnością znajdzie coś dla siebie. Duży plus za organizację i punktualność. Polecam.

Autor: Teufel

<http://www.darkplanet.pl/InoRockFestival2011TeatrLetniInowroccaw10092011-43382.html>

(Poland)  PROGROCK.ORG.PL

W dniach 5-6 sierpnia 2011 w kujawskim Gniewkowie odbył się **V Festiwal Rocka Progresywnego**. Po raz pierwszy w historii imprezę rozłożono na dwa dni. Ten, wydawać by się mogło, dość ryzykowny krok okazał się być strzałem w dziesiątkę! Główni organizatorzy festiwalu, bracia: **Janusz** i **Sławek Bożko**, oraz kilku innych członków Stowarzyszenia PROGRES włożyło w przygotowania do festiwalu mnóstwo czasu i pracy, dzięki czemu zaproszone zespoły oraz widzowie i fani mogli uczestniczyć w absolutnie wyjątkowej imprezie.



Zaproszone zespoły stworzyły bardzo dobry przegląd tego, co obecnie dzieje się na rodzimej scenie rocka progresywnego. Muzycy, tradycyjnie wywoływani przez gospodarza imprezy, Adama Drożdżika zaprezentowali sześć ciekawych i oryginalnych setów koncertowych, przedstawiając kilka odłamów progresywnego gatunku. Na scenie zobaczyliśmy więc dwóch absolutnych debiutantów płytowych AD 2011: Tune i Xanadu. Pierwsi, czyli łódzki zespół Tune zaprezentowali ciekawą mieszankę z głębokimi wpływami art-rocka i post-rocka, popartą bardzo dobrą grą instrumentalną oraz nietuzinkowym tematem koncepcyjnym (debiutancki album "Lucid Moments"), znakomicie interpretowanym przez charyzmatycznego wokalistę Jakuba Krupskiego-Marię.

Drudzy, czyli bydgosko-toruńskie Xanadu, zagrali żywiołowy koncert, w którym obok dość mrocznego i ostrego brzmienia mogliśmy delektować się ciekawymi melodiami i odczuwać prawdziwe muzyczne emocje. Na festiwalu miało miejsce także spore zaskoczenie, a dla niektórych nawet rodzaj szoku. Była to dość karkołomna odmiana wizerunku zespołu Animations, który postanowił dość zdecydowanie wzmocnić swoje brzmienie i zatrudnić nowego, bardzo dobrze czującego się w takich klimatach wokalistę Frantza Wołocha. W finale pierwszego dnia festiwalu znakomitą formę sceniczną zaprezentował wołomiński zespół Openspace, w którym od kilku już lat pokrywane są ogromne nadzieje na przyszłość. Utwory z albumu "Elementary Loss", ze sceny brzmiały wybornie, a nowy gitarzysta zespołu, Mateusz Owczarek udowodnił, że jego wybór nie był przypadkowy. Zagrał tak, jakby w Openspace grał od kilku lat, tymczasem jego przygoda z zespołem trwa ledwie kilka tygodni. Absolutnym strzałem w dziesiątkę było zaproszenie zespołu Lebowski, który zafundował widzom prawdziwą baterię emocji przedstawiając znakomity set, oparty na albumie "Cinematic".

Choć nie tylko! Usłyszeliśmy także zupełnie nowe utwory! Po tym koncercie wszyscy zgodnie kiwali głowami na "tak" i mówili, że muzycy ze Szczecina to absolutna ekstraklasa, w dodatku w skali europejskiej! Imprezę zakończył warszawski zespół Love De Vice, przenosząc nas w czasie ku latom 70-tym, bowiem właśnie z tego okresu, min. od zespołów takich jak: Led Zeppelin, Deep Purple czy Pink Floyd wyraźnie czerpią wenę twórczą. Nie obce im są także klimaty oparte na nowszych formach rockowych, chwilami nawet nieco odbiegającymi od czystego rocka progresywnego. W dodatku muzycy zespołu obcują także formami folkowymi, głównie wywodzącymi się z kultury wschodniej. W tym miejscu wielki pokłon dla Tomka "Ragaboya" Osieckiego, który ze swym tajemniczym instrumentem, przypominającym sitar znakomicie wpisał się w muzykę zespołu: raz to dość przebojową, odjechaną, rock n rollową a za chwilę bardziej wysmakowaną, zaskakującą i nietuzinkową.

Więcej o V Festiwalu Rocka Progresywnego w Gniewkowie przeczytacie w najbliższym wydaniu Biuletynu PodProgowego, tymczasem zapraszamy do zapoznania się z naszą foto-relacją.



Ps. Ogromne słowa uznania należą się Adamowi Warakowskiemu, odpowiedzialnemu podczas festiwalu za inżynierowanie dźwiękiem. Adam, nie dość że soki wyciskał z wszelkich możliwych sprzętów, to jeszcze był dobrą duszą imprezy.

Pozdrowienia także za świetne towarzystwo dla: Kasi i Michała Włodarskich, Janka "Yano" Włodarskiego, Marcina Łachacza, Olka Króla, Adama Drożdżika, Rysia Bazarnika i Włodka Wojciechowskiego.

W imieniu swoim i zapewne nie tylko dziękuję Wam!

Krzysiek "Jester" Baran

<http://www.progrock.org.pl/content/view/7638/62/>



(Poland)  **ROCKAREA**

2011.08.05-06 - V FESTIWAL ROCKA PROGRESYWNEGO – GNIEWKOWO

W ten oto sposób Festiwal Rocka Progresywnego w Gniewkowie urósł do imprezy o wielkim znaczeniu dla tego gatunku muzyki i to już z pięcioletnim stażem. Przez ten czas przez scenę festiwalową przewinęło się wiele zespołów. Niektóre z zespołów reaktywowały się, niektóre uległy rozwiązaniu, ale najważniejsze jest to, że Polski Rock Progresywny ma się dobrze! To że ten festiwal jest w dalszym ciągu uważany za jedno z ważniejszych wydarzeń muzycznych jest zasługą Janusza i Sławka Bożko, których zapał w organizowaniu tej imprezy jest godny naśladowania. Włodarze miasta powinni być im wdzięczni w promowaniu Gniewkowa. Już niedługo sława tego Festiwalu wyjdzie poza granice naszego kraju. Poznałem w tym roku Roberta ze Szwecji, który bardzo ciepło wyrażał się o polskim rocku progresywnym. Stąd jego obecność na tym festiwalu. W tym roku też, już pod szyldem stowarzyszenia „Progres” festiwal dorósł do formy 2 – dniowej, podczas wieczornych piątkowo – sobotnich koncertów. Zgromadzona publiczność mogła podziwiać sześć zespołów z absolutnej czołówki krajowej. Tegoroczny festiwal był dedykowany Robertowi Roszakowi – dziennikarzowi muzycznemu radia „Konin”, który odszedł od nas miesiąc wcześniej.

W piątkowy wieczór koncert odbywał się na odrestaurowanym rynečku Gniewkowa, gdzie na jednej stronie deptaka usytuowana była scena, z rzędem ławeczek dla widowni. Po zapadnięciu zmroku, uroku dodawały latarnie uliczne. Występowały tego wieczoru 3 zespoły; łódzki „Tune”, jaworznicki „Animations” i wołomiński „Openspace”.

Koncert rozpoczął „Tune”, muzyka ich oscyluje w stylistyce szeroko pojętego art rocka z charakterystycznym brzmieniem ... akordeonu (jak to żartobliwie nazwał Adam Drożdżik z bydgoskiego radia „PiK” – syntezator ... zmarszczkowy). Całość poparta bardzo dobrą grą instrumentalną połączona z tematem koncepcyjnym z albumu "Lucid Moments", znakomicie interpretowanym przez charyzmatycznego wokalistę Jakuba Krupskiego-Marię. Był to z pewnością bardzo udany występ.

„Animations” pokazał się tego wieczoru w dwóch odsłonach; w pierwszej jako zespół znany z wielu dokonań progrockowych, z masą pomysłów łamania harmonii dźwięków, wielu solówek gitarowych i wirtuozerii klawiszowca, w drugiej już jako progmetalowa grupa, traktująca swój występ, jako próba przed wielkim wydarzeniem, występem na Metal Hammer Festival 2011 w Katowicach z nowym wokalistą Frantzem Wołochem.

Występ „Openspace” ciekawił mnie z dwóch powodów; po pierwsze na ile zespół dalej rozwinął swoje możliwości artystyczne oraz jak wkomponował się nowy gitarzysta Mateusz Owczarek, po odejściu Marcina Zahna. I trzeba przyznać z ogromną szczerością, że nadal to co mają do zaproponowania, jest SUPER! Radość trochę zakłóciła... awaria energii elektrycznej w połowie koncertu, a tak się wszystko rozwijało w dobrym kierunku.

Relacja filmowa 1-go dnia; Tune, Animations i Openspace

W sobotnie przedpołudnie w ramach festiwalu odbył się w Łącznicy Kulturalnej pokaz filmów koncertowych z poprzednich festiwali, gdzie zaprezentowano występy: Crystal Lake, Point of View, Openspace, Dianoya, Nemezis, Grendel, Leafless Tree, Moonrise, Osada Vida, Hipgnosis. Filmy autorstwa Ryszarda Bazarnika.

Drugiego dnia festiwalu, organizatorzy w obawie przed spodziewanymi burzami, przenieśli koncerty do Łącznicy Kulturalnej i był to strzał w „10 –tkę”. Atmosfera sali przyczyniła się do tego, że wśród wykonawców podniósł się poziom adrenaliny, i ze sceny popłynęły niesamowite dźwięki.

Na początek bydgoskie „Xanadu” kolejny raz udowodniło, że jest na Krajowym rynku Rocka Progresywnego grupą o dużych możliwościach artystycznych. Mieszanka wysublimowanych rytmów z rockowym zacięciem! Cały występ ciekawie zaaranżowany i nawet drobne kłopoty ze strunami jednego z gitarzystów nie zakłóciły koncertu, bo natychmiast Hubert Murawski czas ten wypełnił solówką na bębnach.

A tak na marginesie, to tym występem Xanadu wyraziło chęć zagrania koncertu dla Roberta 24 września w konińskim „Oskard”.

Absolutnym strzałem w „10 –tkę” było zaproszenie szczecińskiej grupy „Lebowski”, który zafundował nam wszystkim prawdziwą kanonadę emocji, prezentując znakomity set, z albumu "Cinematic". Były także zupełnie nowe utwory. Fani zgodnie kiwali głowami, że są to MISTRZOWIE DŹWIĘKU! Koncert rewelacyjny i przyjdzie teraz czekać na ich koncert na tegorocznym Ino Rock Festiwal.

Warszawski „Love De Vice” zaskoczył nas absolutnie ciekawym podejściem do swojej twórczości, cofając się do minionych lat, gdy niepodzielnie panowali nam „purple” i „floydzi”, przynajmniej czuć było te klimaty! Wiemy też, że nie obce są im formy folkowe, wywodzące się ze wschodu i tutaj ukłon w kierunku Tomka „Ragboya” Osieckiego, który na przekór kłopotów komunikacyjnych PKP (tfu. koleje państwowe) dotarł dosłownie w ostatniej chwili na koncert. Instrument wyglądem przypominającym indyjski sitar (grającym smyczkiem), wkomponował się w ciekawie zaaranżowane utwory. I jak na zespół zamykający ten koncert, powodował ciarki na całym ciele !

Ogromne słowa uznania należą się Adamowi Warakomskiemu, odpowiedzialnemu podczas festiwalu za dźwięk oraz światła. Wspaniały człowiek, który mimo ciężkiej pracy znalazł zawsze chwilę czasu na rozmowę.

Podsumowując ten festiwal - z roku na rok rośnie ranga imprezy. Jest to bez wątpienia miejsce na promowanie bogatej oferty Polskiej Muzyki Progresywnej. Pojawiają się coraz to nowe twarze wśród wykonawców. Cieszy też, że coraz to większa jest spontaniczna reakcja wśród widzów. Pewno długo jeszcze ta muza nie będzie zbyt rozpieszczana w mediach i takie miejsce jak w Gniewkowie jest tą oazą wolności dla PROG ROCK’a.

Tekst i materiał dvd; Ryszard Bazarnik

http://rockarea.eu/articles.php?article_id=2152



(Poland)  MAGAZYN GITARZYSTA

Lebowski - 19.11.2011 – Warszawa

Nie wiem ile w ten weekend odbyło się w Warszawie koncertów, zresztą, mało mnie to obchodzi. Ważne, że trafiłam na ten właściwy i absolutnie genialny.

Na to wydarzenie czekałam kilka miesięcy. Od samego początku nie ukrywałam swoich silnych emocji związanych z "**Cinematic**". Tak więc, okazja do skonfrontowania z rzeczywistością moich oczekiwań i dywagacji na temat tego, jak materiał będzie brzmiał na żywo, była jednym z bardziej absorbujących mnie problemów. Jasne, na pewno znajdą się "ciekawsze", albo ambitniejsze zjawiska, ale Lebowski uwiązał mnie łańcuchem do swych dźwięków i nawet kryzys gospodarczy nie był w stanie zawładnąć moim umysłem.

Dość nerwowa ale i nudna sobota zakończyła swój marny żywot w okolicach godziny dziewiętnastej. Bo od tego momentu wszystko stało się zupełnie inne. Czekające na adopcję czerwone łódeczki były pierwszą rzeczą, jaka powitała widzów po wejściu na salę kinową. Znajdowały się na każdym fotelu i w sposób oczywisty nawiązywały do debiutanckiego krążka szczecińskich muzyków. Zresztą, ci wyjątkowo sympatyczni panowie nie kazali na siebie długo czekać. Od razu pojawili się przy swoich instrumentach, a gitarzysta, Marcin Grzegorzczak podjął się na cały wieczór roli konferansjera. Zagadywał zachwyconą publiczność, komentował poszczególne utwory, ale i wprowadził fantastyczną atmosferę, która została dopełniona przez zniewalające dźwięki wszystkich 14 zaprezentowanych tego wieczoru utworów.

Połączenie znanych z "**Cinematic**" kompozycji oraz nowości, które mam nadzieję w szybkim tempie przerodzą się w nowy album, było ciekawe, zgrabne i niewystarczające. Tych dźwięków można by słuchać na okrągło! Niestety, tak się nie da... Koncert był przepełniony atmosferą niezwykłego porozumienia pomiędzy muzykami, a całkiem sporą liczbą osób, która znalazła się na sali. Muzycy udowodnili, że nie potrzeba ogromnej przestrzeni, aby brawa zagłuszyły instrumenty, oraz zmusiły kapelę do dwóch bisów.

Chociaż obawiałam się nieco brzmienia materiału w wersji live to muszę przyznać, że nawet najwspanialszy i najbardziej utalentowany spec od guziczków przy konsoli w studio nie byłby w stanie oddać emocji, jakie odczuwało się w kinie Alchemia. Bo owszem, niektórych rzeczy nie da się zagrać na żywo tak idealnie jak na płycie, ale można zrobić to w sposób inny, co wcale nie znaczy, że gorszy. Do tego należy również doliczyć świetne, nastrojowe wizualizacje o które zadbał Radek Ratomski. Bardzo ważne jest również to, jaki stosunek do granych przez siebie utworów ma sam zespół. Emocje na twarzy Marcina łuczają, czy olbrzymi i bardzo zaraźliwy uśmiech Marka Żaka były idealnym argumentem za tym, iż jeśli kocha się coś co się robi, to ta magia rozprzestrzenia się na innych. Bo tak, ten koncert był magiczny. Cudowny, przepełniony emocjami, pewną nostalgią, ale i niesamowitą energią.

Ale aby to wszystko naprawdę zrozumieć należało tam po prostu być. Nawet kilometrowa relacja nie odda choćby w połowie tego wszystkiego, co w ten mglisty listopadowy wieczór działo się w pewnej sali kinowej...

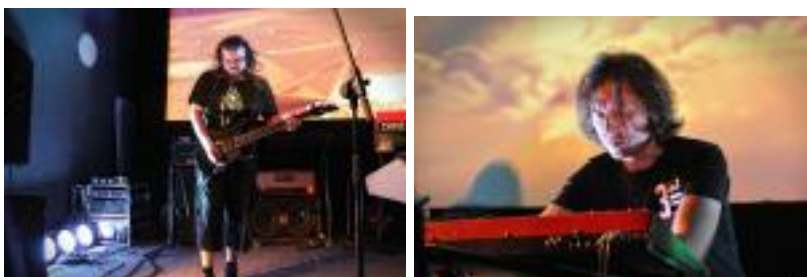
Julia Kata



(Poland)  ROCKELLA

Relacja Lebowski – Alchemia, Warszawa 19.11.2011

W ostatnią sobotę, po koncertach we Wrocławiu, Raciborzu i Łodzi, czerwona łódź pod banderą zespołu Lebowski, zawinęła do Warszawy. W sali Kina Alchemia zjawiła się taka ilość osób, którą trudno byłoby uznać za rekord frekwencji, ale za to wszyscy bez wyjątku pojawili się z przekonaniem, że będzie to wyjątkowy wieczór. Debiutancki album Szczecinian "Cinematic" ukazał się w październiku 2010 roku, więc głód związany z możliwością zobaczenia na żywo ubiegłorocznego niekwestionowanego objawienia na polskiej scenie progresywnej zrobił swoje.



Koncert rozpoczął się z opóźnieniem wywołanym problemami technicznymi, ale to, co wydarzyło się później, zrekompensowało oczekiwanie i wszystkie niedogodności.

Marcin Grzegorzczak, Marcin Łuczaj, Marek Żak i Krzysztof Pakuła byli tego dnia w świetnej formie. Czarowali ze sceny swoją muzyką i wyświetlanymi w tle obrazami. Tańczący derwisze kontrastowali z czołgami i atomowym grzybem, a muzyka, tak pięknie jak na płycie, płynęła niezmacona. Jeśli ktoś widział Lebowski na żywo, już to wie, jeśli jeszcze nie miał tej okazji, spieszę donieść, że obecność zespołu na scenie jest dość statyczna. Dzięki temu cała uwaga słuchaczy skupiona jest na muzyce i filmowych ilustracjach. Choć nie ukrywam, że obserwowanie na przykład sprawności technicznej perkusisty to duża przyjemność.

Ten koncert miał kilka wyjątkowych momentów. Z pewnością jednym z nich był utwór tytułowy z debiutanckiej płyty. "Cinematic" pojawił się w brawurowym wykonaniu, a na ekranie mogliśmy zobaczyć twarze polskich aktorów ze Zbyszkciem Cybulskim na czele oraz czerwoną łódeczkę przemierzającą filmowe przestrzenie.

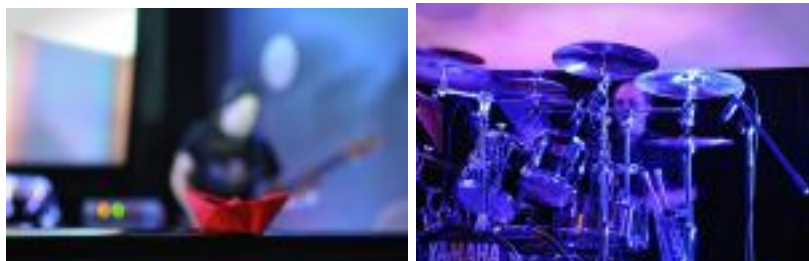
Czteroutworowy set otwierający koncert, składający się ze znanych utworów, zakończyło wykonanie "Iceland". Po nim Lebowski przedstawił nową kompozycję i jeśli w tym kierunku zespół pójdzie na drugiej płycie, wróżę kolejny sukces.

Następnym wyjątkowym fragmentem tego wieczoru, było wykonanie utworu "Encore". Ilość emocji tkwiąca w tej piosence, została na żywo bajecznie zwielokrotniona.

Kolejny nowy utwór, jeszcze bez tytułu, to kolejna piękna piosenka. W tych nowych utworach wyraźniej do głosu dochodzą gitary, są głośniejsze, dynamiczniejsze, po prostu

bardziej rockowe. Jakby muzycy nabrali pewności siebie, przekonali się, że ich twórczość pada na podatny grunt i odważnie postanowili zbadać nowe muzyczne rejony.

Kolejnym wyjątkowym momentem tego wyjątkowego wieczoru, był utwór, który usłyszeliśmy na finał zasadniczej części koncertu. Pełen energii, zawrotnego tempa, ale i rytmicznych zmian. Na bis jeszcze "Midnight Syndrome", po nim "Human Error" i to już naprawdę był koniec.



Podczas tego koncertu znalazłem odpowiedzi na dwa pytania, które nurtowały mnie po zapoznaniu się z materiałem z "Cinematica". Po pierwsze, grupa świetnie radzi sobie bez wokalisty. Ich muzyka jest tak emocjonalna, a zarazem tak plastyczna, że świetnie samodzielnie wypełnia całą przestrzeń podczas występów na żywo. Po drugie, zespół absolutnie nie zabrnął w żadną filmową ślepą uliczkę. Odniosłem wrażenie, że nowymi, oryginalnymi pomysłami sypie jak z rękawa, a wszystkie one są udane. Jak zapewniał mnie Marcin Grzegorzczak po koncercie, płyty „Cinematic 2” na pewno nie będzie.

Mam nadzieję, że Lebowski wystąpi jeszcze kiedyś w Warszawie. W większej, lepiej nagłośnionej sali, dla tłumów rozentuzjasmowanej publiczności. Ich muzyka i oni sami na to zdecydowanie zasługują.

Kuba Henrewicz

<http://rockella.pl/index.php?mact=News,cntnt01,detail,0&cntnt01articleid=2013&cntnt01returnid=18>

za PROGIEM

czyli historia muzyki progresywnej

(Poland)  ZA PROGIEM

Relacja: Filmowy wieczór z muzyką Lebowskiego

Dużo czasu musiało upłynąć od momentu wydania płyty Cinematic do dnia, kiedy zespół po raz pierwszy odwiedził stołeczną Warszawę czyli momentu, kiedy miałem nareszcie szansę zobaczyć Lebowskiego w akcji. Osobiście uważam grupę za największe muzyczne odkrycie roku 2010 w Polsce (zresztą płynące zewsząd rewelacyjne recenzje i opinie moje zdanie utrzymują), a do tego jako formację niesamowicie inteligentnie i przemyślanie się rozwijającą. Nie mogłem więc doczekać się dnia 19 listopada, kiedy to w warszawskim Kinie Alchemia szczecińska formacja miała zaprezentować się na żywo.



Występ rozpoczął się w dwudziestominutowym opóźnieniu. Po wejściu do sali kinowej, gdzie miał odbywać się występ niejako fontman zespołu Pan Marcin Grzegorzczak głęboko przeprosił wszystkich zebranych za niezależne od zespołu problemy techniczne i wynikające z tego faktu opóźnienie (z taką profesjonalną postawą muzyka spotkałem się po raz pierwszy), po czym można było wygodnie rozsiąść się w fotelach i oczekiwać tego, co Lebowski nam zaprezentuje.

Początkowo można było narzekać na nagłośnienie: zdecydowanie za głośne sample, bucący bas, przyciszona gitara, jednak z każdą kolejną sekundą stan faktyczny poprawiał się i po Trip to Doha podczas kolejnego utworu już w pełni można było delektować się muzyką zespołu. Co ciekawe Lebowski zaprezentował widzom naprawdę smoczą dawkę nowego, nieopublikowanego materiału bo oprócz bodajże sześciu utworów z debiutanckiego Cinematic mniej więcej połowa koncertu przypadła na nowy materiał. Rzecz jasna nie zabrakło tytułowego Cinematic, mojego numer jeden czyli Iceland, w trakcie którego ciarki przeszywają całe ciało czy naprawdę świetnie prezentującego się na żywo, francuskiego Encore. Biorąc pod uwagę nowe kompozycje to wręcz fenomenalne wrażenie zrobił utwór nawiązujący do Romeo i Julii nagrodzony burzliwymi oklaskami, zagrany na bis Midnight Syndrome oraz jeden utwór o dosyć trudnej do zapamiętania nazwie, w którym przejawiały się motywy muzyki chińskiej, tudzież japońskiej. Zresztą... naprawdę nie można było narzekać na utwory zagrane przez zespół (choć mi osobiście zabrakło The Storyteller), bo prezentowały one wszystkie niesamowicie wysoki poziom. Jednocześnie już można było zaobserwować różnice między nowym, a starym materiałem – ten pierwszy jest dużo bardziej energiczny i żywiołowy niż utwory pochodzące z Cinematic.

Jeżeli chodzi o samych muzyków, to naprawdę z daleka widoczna była ich radość z możliwości zaprezentowania swojego materiału warszawiakom, a rozradowana mina

basisty formacji mówiła sama za siebie. Publiczność została zdobyta jednak nie tylko świetnym materiałem grupy i formą zespołu, ale poczuciem bliskości i wewnętrznej więzi, którą można było odczuwać już w trakcie Trip to Doha. Zarówno widownia jak i zespół uczestniczyli w pewnego rodzaju misterium i mi osobiście ciężko wytłumaczyć pewnego rodzaju nieznaną więź, duchowe połączenie między muzykami, a publicznością których zjednywały dźwięki płynące z instrumentów Lebowskiego. Niech za komentarz do całego wieczoru posłużą gromkie brawa i oklaski na stojąco części publiczności, bo naprawdę... było pięknie.

Koncert trwał około godziny i trzech kwadransów. W tym czasie zespół pokazał się z naprawdę świetnej strony. Zatapiał swoją muzyką, w sposób niespodziewany zabierał słuchacza w obłoki odrywając go od spraw przyziemnych. Przed występem formacji nurtowała mnie sprawa frekwencji, ale jak się okazało była ona naprawdę zadowalająca (Kino Alchemia zapełniło się niemal w pełni), a wśród publiczności mogliśmy zobaczyć zarówno kilkuletnie dzieci, jak i osoby w podeszłym wieku.

Ostatecznie podsumowując występ muzyków jestem nim w pełni usatysfakcjonowany. Nie jestem jednak pewien czy zespół powinien występować w kinie czy po prostu w klubie. Przemysłam to zagadnienie do tej pory i w sumie o ile kino jest chyba naturalnym matecznikiem zespołu i przemawia za nim dość sporo argumentów, to sądzę że występy w typowo koncertowych miejscach w większym stopniu potrafiłyby wykorzystać muzyczny potencjał formacji i emocje związane z graną przez nią muzyką.



Na występ formacji Lebowski dość długo oczekiwałem i absolutnie nie czuję się zawiedziony. Przeżyłem naprawdę bajkowe chwile okraszone piękną, filmową atmosferą. Zespołowi życzę poszerzania grona fanów, bo z pewnością formacja ma ogromny artystyczny potencjał. Najważniejsze jednak, żeby miała okazję i możliwości go odpowiednio wykorzystać. Trzymam kciuki i czekam na kolejny występ!

Paweł Bogdan

(Poland)  PROGROCK.ORG.PL

18.11.11 Łódź - Wytwórnia - Lebowski vs Tune czyli Kino vs Teatr



Są takie wydarzenia koncertowe na które czekamy z ogromną niecierpliwością. Odliczamy wówczas dni, z radością zauważając o każdym kolejnym poranku, że to już niedługo, coraz bliżej. I co jest w tym wszystkim najbardziej budujące, to fakt, że tego typu wydarzenia coraz częściej firmowane są naszą, rodzimą, polską marką. Do takich właśnie koncertów, przynajmniej w moim mniemaniu i pośród wielu moich znajomych, przez kilka ostatnich tygodni należał zapowiadany, wspólny występ zespołów Lebowski i Tune.

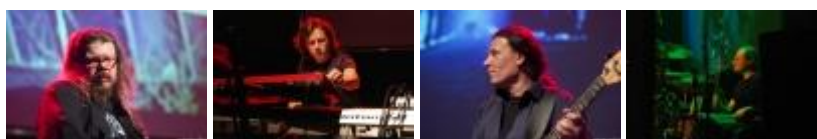
Obydwa zespoły niedawno zadebiutowały absolutnie znakomitymi albumami (Lebowski – "Cinematic", Tune – "Lucid Moments"), które z całą pewnością dodały polskiej scenie rocka progresywnego dawkę kolejnej, bardzo pozytywnej energii. Obydwa zespoły poruszają się po nieco innych progresywnych ścieżkach, a jednak łączy je pewien wspólny element: wszech bijący artyzm, zawieszony gdzieś pomiędzy kinem a teatrem. Tematy koncepcyjne zaproponowane przez obydwie zespoły, choć niosące nieco inne ciężary gatunkowe sprowadzają się do podobnych stanów emocjonalnych, jakie osiąga słuchacz. Muzycy obydwu zespołów nie kopiują na siłę tylko tworzą własną, oryginalną muzykę. Nie starają się brzmieć jak ktoś inny. Czerpią z muzyki wielką frajdę i satysfakcję, co jest niemal namacalne w ich twórczości. Smaku piątkowemu koncertowi dodawała też magia miejsca, w którym miał on się odbyć. To najlepszy klub w Łodzi, i chyba jeden z najlepszych tego typu w Polsce. Klub Wytwórnia! Miejsce magiczne, pachnące i kinem, i teatrem, ale przede wszystkim dobrą muzyką, która w przeszłości nie raz, nie dwa gościła w Łodzi przy ulicy Łąkowej.



Miałem to szczęście być z muzykami zespołów oraz akustykami podczas przygotowań do koncertu. Widziałem jak bardzo wszystkim zależało by całe przedsięwzięcie wypadło perfekcyjnie. Wszyscy włożyli w te przygotowania maksimum swoich możliwości, co przełożyło się na dwa absolutnie znakomite koncerty. Budujące jest także to, że dopisała publiczność, którą ściągnęły do Wytwórnii: magia muzyki podniesionej do rangi sztuki a także wyjątkowość miejsca. Nikt z osób, które przybyły w piątkowy wieczór dnia 18 listopada 2011 do łódzkiego klubu, z pewnością nie żałował poświęconego czasu. Otrzymał podaną na tacy strawę duchową jak w wykwintnej restauracji...

Jako pierwsi na scenie pojawili się muzycy zespołu Lebowski, intonując pierwsze takty "Trip To Doha". Skupiony za klawiaturami Marcin Łuczaj, niemal zrosnięty z gitarą Marcin Grzegorzczak, bez przerwy uśmiechający się do Pani Muzyki basista Marek Żak, perkusista-perfekcjonista w każdym calu - Krzysztof Pakuła, oraz jak to przystało na

kinową fabułę, mistrz drugiego planu, Radek Ratomski odpowiedzialny za wyświetlanie wizualizacji. One także dodają koncertom zespołu ze Szczecina niesamowitego kolorytu. Bardzo przeżywający każdy takt swojej muzyki artyści niemal zahipnotyzowali publiczność serwując kilka tematów z wciąż promowanego albumu "Cinematic", choć do koncertowego setu wkradło się kilka zupełnie nowych kompozycji. Niektóre podobnie melancholijne, jak materiał z debiutu. Inne z nieco większą dawką mocy. Jak mówił ze sceny Marcin Grzegorzczak, w repertuarze Lebowskiego są utwory które nie mają jeszcze tytułów, albo posiadają tytuły robocze i wciąż są w fazie rozwoju, ale wszyscy fani zespołu po tym koncercie byli zgodni: następny album będzie kolejną dawką niesamowitej, rockowej, eterycznej ekspresji. Wszyscy bardzo na niego czekamy delektując się niezmiennie cudownym "Cinematikiem". Po za sceną muzycy Lebowskiego to wspaniała grupa ludzi, z którymi można przy dobrym zimnym piwku po prostu świetnie spędzić wieczór. Grupa moich przyjaciół, która pojawiła się ze mną na koncercie była wprost zauroczona, a zespołowi Lebowski z pewnością po tym wieczorze przybyło kilkoro nowych, oddanych słuchaczy.



Wieczór ze znakomitą muzyką ubiegł zbyt szybko, w myśl zasady, że wszystko co dobre, szybko się kończy... Pozostaje nam mieć tylko ogromną nadzieję, że podobne, art-rockowe koncerty staną się w klubie Wytwórnia regułą. To najlepsze miejsce w naszym mieście do prezentowania tego typu muzyki w pełnej jej okazałości. I choć środowisko fanów rocka progresywnego jest dość wąskie, a muzyka powszechnie uważana za niszową, to ten wieczór ugruntował w nas wszystkich, że muzyka grana na żywo, w takim miejscu jak Wytwórnia smakuje jak najlepsze wino, podane do wykwintnej kolacji. Jestem przekonany, że na kolejnych tego typu koncertach w tym wyjątkowym miejscu frekwencja będzie jeszcze większa, choć w piątek przecież już była przyzwoita. Ogromny szacunek za organizację dla Wszystkich osób które się do niej dołożyły, a przede wszystkim dla Pani Prezes, Marioli Wojtysiak oraz Pani Koordynator Projektów Małgorzaty Łopot - Kocimskiej za zapalenie dla rocka progresywnego zielonego światełka w Wytwórni. Wszyscy mamy wielką nadzieję, że nie zgaśnie ono. Wręcz przeciwnie! Będzie jaśniało dla wszystkich fanów tego typu muzyki w Łodzi i nie tylko.

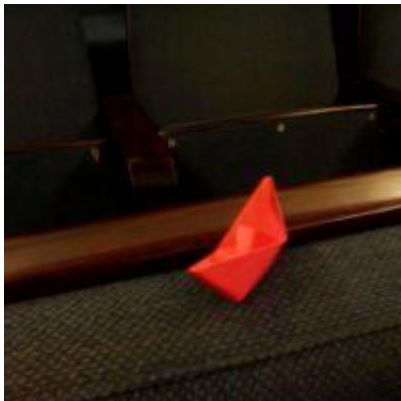
tekst: Krzysiek Jester Baran

zdjęcia: Michał WłodaMic Włodarski, Krzysiek Baran

<http://www.progrock.org.pl/content/view/8012/62/>

(Poland)  STUDENTS.PL

Dziwna sprawa z tym Lebowskim. Napisałam wczoraj dwie relacje z ich koncertu, a nadal mam ochotę pisać, czuję, że nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. Jeden koncert, a tyle emocji!



Nie ukrywam, że w dźwiękach zamieszczonych na "Cinematic" jestem zakochana absolutnie i to jedna z najważniejszych dla mnie płyt. I jedna z tych, o której można mówić godzinami. Pewnie, nie wszystkim przypadnie do gustu, szczególnie tym lubującym się w Lady Zgadze i Bekstrit Bojz.

Natomiast fani filmów, zwłaszcza starszych i bardziej ambitnych powinni postawić sobie za punkt honoru przesłuchanie tego krążka przynajmniej raz (i jak sądzę 99% przypadków przesłucha go jeszcze raz i jeszcze jeden...).

Ale, ale! Nadszedł 19 listopada i po chwilowym lataniu jak kot z pęcherzem po Starówce odnalazłam właściwy adres. Niewielkie kino Alchemia zgromadziło sporą liczbę fanów Lebowskiego. Ktoś może powiedzieć co to za impreza, jeśli to nie jest pomieszczenie pokroju Kongresowej. A miejsce-w-którym-plecy-tracą-swą-szlachetną-nazwę! Taka zgrabna, niewielka salka była idealna. Bardzo przyjemna, wręcz rodzinna atmosfera była po prostu niesamowita!

Gdy przestałam się już kręcić na krześle i w końcu mogłam słuchać z rozdziawioną buzią, bo moja uwaga przestawała dostawać hysterii i zastanawiać się czy oglądać wizualizacje, czy słuchać muzyki (w końcu nastąpił kompromis) został odtrąbiony koniec koncertu. Ale jak to?! Przecież dopiero się zaczęło! Jakim cudem przeleciało już tyle utworów?! Ja się nie zgadzam!

I fakt, 12 utworów, a później jeszcze dodatkowe dwa przeleciały ekspresowo. Miks emocji, muzyki i obrazu był tak niesamowity, wręcz magiczny oczarował mnie całkowicie i absolutnie. Przerobiłam w swoim marnym, futrzanym życiu kilka koncertów, lepszych, gorszych ale ten był chyba najlepszy. Jasne, metal to moja prawdziwa miłość, ale Lebowski gra taką muzykę, która jest w stanie słuchacza pojmać i już nigdy nie wypuścić.

Myślę, że ten zespół trzeba zobaczyć na scenie żeby zrozumieć wszystkie te emocje, czy nawet mój zachwyty. Bo tak, jako nadworna wróżka zespołu (czekam cały czas na czapkę z welonem!) widzę przed tymi muzykami świetlaną przyszłość. A po następną płytę, która mam nadzieję niedługo się pojawi czekam z ogromnym zniecierpliwieniem. Nie będzie to "Cinematic 2", ale to chyba dobrze. Wachlarz możliwości i pomysłów kwartetu ze Szczecina jest tak ogromny, że nie ma co się spodziewać ciągłego grania na jedno kopyto.

Julia Kata

http://www.students.pl/spolecznosc/user/blog/broken_kittie/57632/Czerwona-loodeczka-w-Alchemii?fb&fb_source=message

(Poland)  NOWINY.PL

17 listopada w Raciborskim Centrum Kultury odbyła się inauguracja VII Dni Filmu Polskiego. Gwiazdą wieczoru był zespół LEBOWSKI.



O wyborze zespołu nie zdecydował przypadek. LEBOWSKI to zespół grający muzykę z pogranicza art rocka i muzyki filmowej. Piękne brzmienie gitar w połączeniu ze zdjęciami ze znanych filmów wyświetlanych na ekranie zaczarowało publiczność.

"Cinematic" to najnowsza płyta zespołu. - Jest jak ścieżka dźwiękowa napisana do nieistniejącego filmu - mówi gitarzysta zespołu Marcin Grzegorzczak. Na pytanie: Gdyby ten film miał powstać, to jaki by był?, gitarzysta odpowiada bez zastanowienia: - Piękny!

- W tym roku zmieniliśmy trochę konwencję dni filmu polskiego, zaczynamy od koncertu, przez kolejne trzy dni prezentowane będą filmy zmarłego niedawno Janusza Morgensterna, w hołdzie jego twórczości - mówi organizator VII Dni Filmu Polskiego w Raciborzu, Andrzej Śliwicki.

Pierwszy film wyświetlono po koncercie, była to "Jutro Premiera" z 1962 roku.

Fot. Sebastian Węgorowski / www.studiowegorowski.pl

<http://www.nowiny.pl/79204-lebowski-w-strzesze.html>



(Poland)  ARTROCK.PL

TUNE, LEBOWSKI, Łódź, Wytwórnia, 18.11.2011

Na kolejny wieczór z szeroko rozumianą muzyką progresywną zaprosiła miłośników nietuzinkowych dźwięków łódzka Wytwórnia. Tym razem na scenie klubu zaprezentowały się dwa zespoły mające za sobą intrygujące debiuty: szczeciński Lebowski i łódzki Tune.



To był mój pierwszy kontakt z muzyką Lebowskiego w koncertowym wydaniu. Zachwycony ich zaskakującym i oryginalnym debiutem zastanawiałem się jak na żywo mogą wypaść ich precyzyjnie przygotowane w studiu pomysły. A wypadły doprawdy zacnie, w czym z pewnością spora zasługa doskonałych warunków, w których przyszło muzykom grać tego piątkowego wieczoru. Studio Wytwórni jest idealnym miejscem do prezentowania muzyki pełnej smaczków i dźwiękowych niuansów. Słyszeć było pięknie a i publiczność – niezwykle ważki element spektaklu – wyjątkowo dopisała.

Dobry wieczór pięknym paniom, dobry wieczór przystojnym panom – zaczął szarmancko grający na gitarze Grzegorzyczyk i... rozpoczęli dokładnie tak jak na albumie Cinematic, od Trip To Doha. Zaraz potem pojawił się Aperitif For Breakfast (O.M.R.J) oraz mój ulubiony numer tytułowy, w którym wsamplowanym głosom wybitnych polskich aktorów, towarzyszyły czarno – białe ich zdjęcia prezentowane na ogromnym, znajdującym się za plecami muzyków, ekranie. Ciekawe wizualizacje sekundowały zresztą muzykom podczas całego półtoragodzinnego koncertu, klimatycznie dopełniając muzykę. Można nawet powiedzieć, że ich instrumentalne granie było swoistą ścieżką dźwiękową do obrazów i filmów przedstawianych na ekranie.



Ze wspomnianego już albumu zabrzmiały jeszcze choćby Iceland i Encore. Ten ostatni pojawił się tuż po Berlinie, w związku z czym Grzegorzyczyk zapowiedział go dosyć dowcipnie: zrobiło się międzynarodowo, to może teraz zrobimy to po francusku (w kompozycji Encore wykorzystane są fragmenty francuskiego Le pacte des louis – przyp. MD). Najbardziej musiały jednak cieszyć rzeczy, których na Cinematic nie ma. O Berlinie była już mowa; do tego artyści zaprezentowali bardzo mocny i gitarowy, zupełnie odstający od debiutu Riff (Split Universe), Slightly Inhuman, stworzony pod wpływem recenzji pewnego amerykańskiego dziennikarza i jemu, nieco złośliwie, zadedykowany, Romeo & Juliet, wielowątkowy, rozbudowany i mocno orientalny numer Ivo Jima oraz

kończącą całość Kulę. Nie tylko ze słów muzyków, ale i z tego co można było usłyszeć ze sceny wynikało, że drugiej części Cinematica na kolejnym krążku nie dostaniemy. Widać, że artyści poszukują nowego wyrazu dla swojej muzyki – w dalszym ciągu jednak instrumentalnej, wielobarwnej, pełnej smutnych emocji.

Tune rozpoczęło niewiele chwil przed wpół do dziesiątej. Śpiewający Jakub Krupski powiedział dosyć krótko: cześć, jesteśmy Tune i zagramy wam naszą płytę Lucid Moments od początku do końca. I tak było. Zaczęli od Depended, a skończyli na Dr Freeman. Na bis powtórzyli dwa kawałki i pozostawili naprawdę solidne wrażenie. Widziałem ich już po raz drugi i muszę przyznać, że artyści dokonali potężnej zmiany w swoim wizerunku scenicznym. To w dużej mierze zasługa wspomnianego Krupskiego, którego sceniczna kreacja (łącząca cechy zawadiackiego Jamesa Deana i charyzmatycznego Jima Morrisona), pełna ekspresji oraz sporych umiejętności aktorskich i wokalnych, musiała się podobać. Muzycy dołączyli ponadto do swojego występu elementy dramy (w kompozycji Dimensions Krupski, siedząc na scenie, zagrał w szachy z perkusistą Wiktorem Pogodą). Dziś nie widać już po muzykach debiutanckiej bojaźliwości, jest pewność i świadomość swoich dźwięków. Już tylko gwoli dziennikarskiego obowiązku przypomnę, że spora siła ich muzyki tkwi w połączeniu rocka z dźwiękami akordeonu, kreowanymi przez Janusza Kowalskiego – zresztą siedzącego gdzieś z boku sceny w ciemnych okularach i z charakterystycznym nakryciem głowy. Łodzianie przyjęli ich ciepło, widać było nawet, iż niektórzy śpiewają ich piosenki. I tak trzymać.

Mariusz Danielak

http://artrock.pl/zagrani/634/tune_lebowski_lodx_wytownia_18_11_2011.html

rockmetal.pl

rock i metal po polsku

(Poland)  ROCKMETAL

wystąpili: Lebowski; Tune

miejsce, data: Łódź, Wytwórnia, 18.11.2011

Zespoły Lebowski i Tune grają szeroko rozumiany rock progresywny, lecz o diametralnie różnym charakterze. Lebowski to muzyka instrumentalna, a styl Tune tworzą solówki gitarowe, akordeon i wreszcie - po chyba trzykrotnej zmianie - dobry wokal. Zestawienie tych dwóch grup zapowiadało się ciekawie, a i miejsce koncertu - klub "Wytwórnia" - wydawało się jak zwykle świetne do posłuchania muzyki.

Informacja na biletach o miejscach siedzących nienumerowanych wywołała, jak słyszeliśmy przed wejściem nie tylko u nas, zadowolenie - dobrze kłapnąć gdzieś na chwilę podczas dłuższej imprezy. I jak zwykle "Wytwórnia" nie zawiodła - zapewniła nieograniczoną ilość miejsc siedzących... na podłodze. O dziwo, okazało się to nad wyraz korzystne - stworzyło atmosferę klubu studenckiego z lat 80 czy 90, w co rewelacyjnie wkomponowała się muzyka Lebowskiego. Zespół zagrał kawałki ze swojego debiutanckiego albumu "Cinematic", a także kilka nowych utworów. Zmienne tematycznie, o różnorodnym nastroju, tworzyły oryginalną, spójną całość świetnie podkreśloną materiałem filmowym. Oprawę uzupełniał pogodny i pełen radości uśmiech basisty. Całość po prostu doskonała.

Nie zawiódł także Tune, promujący przed swoją publicznością pierwszy album - "Lucid Moments". Usłyszeliśmy wszystkie utwory na nim zarejestrowane. Widać profesjonalizm grupy, niewątpliwie duża rolę odegrała tutaj zmiana wokalisty. Kuba Krupski daje występ godny szerszej, kilkutyśycznej publiczności i cieszy, że potrafi tak zaśpiewać też dla mniej licznie przybyłych fanów. Jak zwykle rewelacyjny okazał się gitarzysta Adam Hajzer. Niestety dużym mankamentem była słaba słyszalność akordeonu, a przecież odgrywa on znaczącą rolę w tworzeniu klimatu. Szkoda też trochę, że nie pojawiły się te najnowsze, sygnalizowane przez grupę, nieznane jeszcze publiczności utwory. Ale - tak trzymać.

Magda Pawełek

<http://www.rockmetal.pl/relacje/lebowski.tune-lodz.11.html>